

LEON HR
TOLSTOJ



SPOWIEDŹ

Spowiedź

LEON HR. TOŁSTOJ

S P O W I E D Ź



WARSZAWA — KRAKÓW — LWÓW

1 9 2 9

Druk. „REKORD” Warszawa.

I.

Zostałem ochrzczony i wychowany w prawosławnej chrześcijańskiej wierze. Zasady jej wpajano we mnie przez cały czas dzieciństwa mego i młodości. Ale kiedy w 18-ym roku życia opuściłem drugi kurs uniwersytetu nie wierzyłem już w nic z tego co we mnie wpajano.

Wnosząc z różnych wspomnień, nigdy serjo nie wierzył, a miałem tylko zaufanie do tego, w co wierzyli starsi; ale zaufanie to oparte było na kruchych podstawach.

Pamiętam, gdy skończyłem lat jedenaście, pewien chłopczyk dawno już zmarły, Włodzio M., uczeń gimnazjum bawiąc u nas w niedzielę, zakomunikował nam,

jako ostatnią nowość, odkrycie zrobione w gimnazjum. Odkrycie polegało na tem że Boga niema i że wszystko, czego nas uczą — prostym jest wymysłem (było to w r, 1838).

Pamiętam, jak się zainteresowali tą nowiną moi starsi bracia, zawezwali i mnie na naradę i pamiętam jakeśmy się wszyscy żywo zajęli tą wiadomością i uważali ją za bardzo zajmującą i prawdopodobną.

Pamiętam jeszcze, że gdy mój starszy brat, Dymitr, będąc na uniwersytecie z właściwą naturze swej namiętnością raptownie nawrócił się i zaczął uczyć na nabożeństwa, pościć i życie prowadzić czyste i moralne, my wszyscy nie wyłącza-
jąc starszych, naśmiewaliśmy się z niego i przeważaliśmy, nie wiedzieć czemu, Noem.

Pamiętam, że Musin - Puszkina, naonczas kurator kazańskiego uniwersytetu, zapraszając nas do siebie na wieczorek tańczący, namawiał brata mego, odrzucającego zaproszenie i drwiąco go przekonywał, że i Dawid tańczył przed arką Przymierza.

Ja wówczas współczułem tym drwinom starszych i wyprowadzałem z nich

wniosek, że uczyć się katechizmu trzeba, chodzić do kościoła również, ale nie trzeba tego wszystkiego brać zbyt na serjo. Pamiętam jeszcze że w bardzo młodym wieku czytałem Woltera, a drwiny jego wcale mnie nie oburzały, przeciwnie bardzo mnie bawiły. Zobojętnienie moje dla wiary nastąpiło u mnie tak, jak się to działo i dzieje teraz u ludzi naszego poziomu umysłowego. Zdaje mi się, że w większości wypadków dzieje się to tak; ludzie żyją tak, jak żyją wszyscy, a wszyscy żyją na podstawie zasad nietylko nie mających nic wspólnego z religią, ale wprost przeciwnych jej; nauka religji nie przyjmuje udziału w życiu i w stosunkach z ludźmi, jej nie spotykamy i we własnem życiu, nie mamy z nią do czynienia; religję wyznaje się tam, gdzieś zdala od życia i niezależnie od niego. O ile się z nią stykamy, stanowi ona zewnętrzne, oderwane od życia zjawisko.

Z życia człowieka, z jego czynów jak wówczas tak i teraz nie można się domyślać żadną miarą, czy jest on wierzącym, czy też nie. Jeżeli jest różnica między jawnym wyznawcą religji, a odstępcą nie wypadnie ona na korzyść pierwszego.

Jak teraz, tak wówczas jawną dewocję po większej części spotykamy u ludzi tępych, okrutnych, niemoralnych i wyniosłych. Rozum zaś, uczciwość, prostota i dobroduszość po większej części spotykają się u ludzi nie wierzących.

W szkołach uczą katechizmu i posyłają uczniów do kościoła; od urzędników żądają świadectw z odbytej spowiedzi. Ale człowiek naszej sfery, który się już nie uczy i nie odbywa służby państwowej i teraz, a dawniej tembardziej, mógł przeżyć dziesiątki lat nie przypomniawszy sobie ani razu, że żyje wśród chrześcijan i sam wyznaje chrześcijańską wiarę.

Dziś również jak i dawniej wiara przyjęta przez zaufanie i podtrzymywana zewnętrznie, potrosze rozplywa się pod kierunkiem nauki i doświadczenia życiowego i człowiek często wyobraża sobie, że ta wiara, którą mu wpojono w dzieciństwie, żyje w nim jeszcze, podczas gdy z niej już dawno nie pozostało śladu.

S., rozumny i prawy człowiek opowiadał mi, jak przestał wierzyć. Mając już lat 26, raz na noclegu, podczas polowania, starym przyjętym w dzieciństwie zwyczajem

uklął wieczorem do modlitwy, Starszy brat, bawiący z nim na polowaniu, leżał na sianie i patrzył na niego. Kiedy S. skończył modlitwę i zaczął się do snu układać, brat spytał go: „A ty wciąż jeszcze odmawiasz pacierz?“,

I więcej do siebie nie mówili. Ale S. od tego dnia przestał odmawiać pacierz i chodzić do kościoła. Słowa brata nie przekonały go, w duszy jego nie nastąpił żaden przełom, tylko zdanie owo, wypowiedziane przez brata, było pchnięciem palcem w ścianę, która i tak własnym ciężarem chyliła się do upadku; zdanie to wskazało mu, że na miejscu wiary, była już pustka i że wobec tego słowa, wymawiane podczas modlitwy i znak krzyża, stały się bezmyślną czynnością. Uznawszy tę bezmyślność, umiał jej zaniechać.

Tak bywa sędzę z większością ludzi. Mówię o ludziach naszej sfery umysłowej mówię o ludziach szczerych względem siebie, a nie o tych, którzy religję zrobili środkiem dla dojścia do jakiegobądź celu. (Ci ludzie są najprawdziwszymi niedowiar-kami, gdyż jeżeli religja jest dla nich środkiem dla doścignięcia jakiegokolwiekbądź

życiowego celu — to jest to napewno nie religja). Ludzie naszego poziomu umysłowego znajdują się w tem położeniu, że światło wiedzy i życia rozproszyło sztuczną budowlę, a oni albo już to zauważyli i wyswobodzili się, albo też jeszcze tego nie zauważyli.

Religja zaszczeplona mi w dzieciństwie znikła we mnie tak, jak i w innych, z tą tylko różnicą, że ponieważ już w piętnastym roku życia zacząłem czytać filozoficzne książki, więc utratę religijności wprędce sobie uświadomiłem. Od 16 go roku życia przestałem modlić się, i z własnej woli przestałem chodzić do kościoła i pościć. Nie wierzyłem w to, co mi od dziecka wpa- jano, ale wierzyłem w coś. W co wierzyłem, tego bym żadną miarą nie mógł określić. Wierzyłem w Boga, albo raczej nie odrzu- całem wiary w Boga, ale w jakiego Boga tego nie mógłbym powiedzieć, nie odrzu- całem Chrystusa i jego nauki, ale na czem polegała ta nauka, tego także, nie umiał- bym powiedzieć.

Teraz, gdy wspominam te czasy, widzę jasno, że wiarą moją, t. j. tem co oprócz zwierzęcych instynktów kierowało mojem

życiem—jedyną prawdziwą wiarą moją, była wiara w udoskonalenie. Ale na czym polegało doskonalenie i jakim był cel jego, nie umiałbym powiedzieć. Staralem się doskonalić umysłowo—uczyłem się wszystkiego czego mogłem i co mi życie nasuwało: starałem się doskonalić wolę, tworzyłem sobie zasady, których się starałem trzymać; doskonaliłem się fizycznie wszelkiego rodzaju ćwiczeniami, wyrabiając siłę i zręczność i hartowałem się przez abnegację, wyrabiając w sobie wytrzymałość i cierpliwość. I to wszystko uważałem za doskonalenie się. Zasadą była rozumie się moralna doskonałość, ale wkrótce zmieniła się na doskonałość wogóle t. j. na pragnienie ażeby być lepszym nie wobec Boga i samego siebie ale wobec ludzi. W bardzo zaś prędkim czasie to dążenie aby być doskonałym wobec ludzi, zmieniło się na pragnienie, aby być od innych ludzi silniejszym, t. j. sławniejszym, znakomitszym i bogatszym.

II.

Kiedyś opowiem wzruszającą i pouczającą historję życia mego w przeciągu dziesięciu lat mojej młodości. Sądze, że wielu, wielu ludzi doświadczyło tegoż samego. Całą duszą pragnąłem być lepszym, ale byłem młodym, miałem namiętności, a byłem sam, zupełnie sam, gdy szukałem dobrego. Za każdym razem, gdy się starałem wypowiedzieć to, co stanowiło najtajniejsze moje pragnienia że chcę być moralnie dobrym, spotykałem lekceważenie i żarty, a kiedy oddawałem się występny*m* namiętnościom, chwalono mnie i zachęcano. Ambicja, chciwość władzy i zysku, duma, gniew, zemsta — wszystko to było otoczone szacunkiem.

Oddając się namiętnościom, dawałem dowód mojej dojrzałości i czułem, że wszyscy są ze mnie zadowoleni. Dobra moja ciotka, u której mieszkałem, najlepsze stworzenie pod słońcem, mawiała mi, że niczego tak dla mnie nie pragnie, jak stosunku z meżatką: „rien ne forme un jeune homme, 'comme une liaison avec femme comme il faut“, jeszcze drugiego

szczęścia dla mnie pragnęła — abym został adjutantem i to najlepiej przy cesarzu i największego szczęścia — abym się ożenił z bardzo bogatą panną i żebym wskutek takiej żeniaczki miał jaknajwiększą liczbę niewolników. Bez strachu, wstrętu i bólu nie mogę wspominać tych lat. Zabijałem ludzi na wojnie, wyzywałem na pojedynki żeby zabić; przegrywałem w karty, przejadalem pracę chłopów, męczyłem ich, wprowadzałem w błąd, oszukiwałem. Kłamstwo, złodziejstwo, cudzołóstwo wszelkiego rodzaju, pijaństwo, gwałt, zabójstwo, nie było przestępstwa, którego bym nie popełnił, i za to wszystko mnie chwalono uważano i uważają moi rówieśnicy za stosunkowo moralnego człowieka.

Tak przeżyłem lat dziesięć. W tym czasie zacząłem pisać — przez ambicję, chciwość i dumę. W utworach moich popełniałem to samo co w życiu. Dlatego aby osiąść sławę i pieniądze, trzeba było ukrywać dobre, a wypowiadać złe. Tak też czyniłem. Ilekroć starałem się ukrywać w swych utworach pod pozorem obojętności, a nawet lekkiej ironji, to dążenie do dobrego, które stanowiło treść

meo życia. I udawało mi się: chwalo-
no mnie.

Mając lat 26 przyjechałem po wojnie do Petersburga i spotkałem się z literatami. Przyjęto mnie, jak swego, pochlebiano mi. Nie zdążyłem się zorientować kiedy przyjąłem literackie klasowe poglądy na życie tych ludzi, do których się zbliżyłem, a wymazałem z pamięci, już tym razem zupełnie, dawniejsze me usiłowania w dążeniach do poprawy. Poglądy te podstawily mi zasady, które usprawiedliwialy niemożliwe moje życie.

Pogląd na życie tych ludzi, moich towarzyszy po piórze, polegał na tem, że życie wogóle się rozwija i że w tym rozwoju główną rolę odgrywamy my, ludzie myśli, a z ludzi myśli największy wpływ wywieramy my, artyści i poeci. Naszem powołaniem — uczyć ludzi. Aby zaś nie nasunęło mi się naturalne pytanie: co też ja umiem i czego mogę uczyć? teoria objaśniała, że tego wiedzieć nie potrzeba gdyż artysta i poeta bezwiednie uczą. Uważałem się za cudownego artystę i poete

i dlatego bardzo mi łatwo było przy-
swoić sobie tę teorię.

Ja—artysta, poeta, — pisałem, uczy-
łem sam nie wiem czego. Płacili mi za to
pieniądze, miałem wyborne jedzenie,
wspaniałe mieszkanie, piękne kobiety i
wytworne towarzystwo; miałem sławę. A
więc widocznie to, czegom się uczył było
bardzo dobre.

Wiara ta w znaczenie poezji i roz-
wój życia była religją, a ja jednym z jej
kapłanów. Kapłanom jej było bardzo wy-
godnie i przyjemnie. I ja dość długo ży-
łem w tej wierze, nie podejrzewając jej
prawdziwości. Ale na drugi, czy trzeci rok
takiego życia, zacząłem wątpić w słusz-
ność takiej religji i zacząłem ją badać.
Pierwszy powód do zwątpień dała mi za-
ważona niezgoda między kapłanami tej
religji. Jedni mówili: my jesteśmy naj-
lepszymi i najpożyteczniejszymi nauczy-
cielami, my uczymy tego co potrzeba, a
inni uczą niewłaściwie. I sprzeczali się,
kłócili, łajali, oszukiwali jeden drugiego.
Prócz tego między nami było wielu ludzi
którzy nie zastanawiali się nad tem kto
ma słusność, a poprostu dążyli z pomo-

cą swej literackiej działalności do materialnych korzyści. Wszystko to nasuwało mi wątpliwości co do prawdziwości naszej religii.

Prócz tego, zwątpiwszy w prawdziwość tej religii, zacząłem uważnie badać jej kapłanów i przekonałem się, że wszyscy prawie kapłani tej wiary, t. j. literaci byli to ludzie niemoralni i po większej części ludzie źli, marnych charakterów, — wielu z nich stało niżej od tych ludzi, których spotykałem w mojem poprzednim hulackim i wojskowym życiu, — ale zarozumiali i zadowoleni z siebie, tak jak mogą być tylko zadowoleni z siebie ludzie święci, albo tacy, którzy nie wiedzą co to jest świętość. Ludzie mi obrzydli i ja sam sobie obrzydłem i pojąłem, że taka wiara — to oszustwo. Ale dziwna rzecz chociaż to całe kłamstwo pojąłem dość prędko i wyrzekłem się go, godności nadanej mi przez tych ludzi, godności artysty, poety, nauczyciela — nie wyrzekłem się. Naiwnie wyobrażałem sobie, że jestem poetą, artystą i mogę uczyć wszystkich, sam nie wiedząc czego uczyć. To też tak zrobiłem. Ze zbliżenia się do tych

ludzi zyskałem nową wadę — chorobliwie rozwiniętą dumę i szaloną pewność siebie oraz przekonanie, że powołany jestem, aby uczyć ludzi, choć sam nie wiedziałem czego.

Teraz, gdy wspominam te czasy i swój ówczesny nastrój tych ludzi (takich zresztą i dziś — tysiące) i żal mi i wstydzę się; — mam takje uczucie, jakiego doznaje się w domu obłąkanych.

Tysiące robotników dzień i noc do-
bywając sił ostatnich pracowało, składało,
drukowało miliony słów i poczta rozwozi-
ła je po Rosji, a myśmy wciąż uczyli i
nie mogliśmy zdążyć nauczać i ciągle
gniewaliśmy się, że nas za mało słuchają.

Straszne to dziwne, ale teraz jest mi
zrozumiałem. Jedyne prawdziwe, ser-
deczne nasze pragnienie była chęć
zebrania jaknajwiększej ilości pochwał
i pieniędzy.

Aby dojść do tego celu nie umie-
liśmy nic innego robić, jak tylko pisać
książki i gazety. To też robiliśmy to. Ale
dlatego, aby pracując tak bezużytecznie,
utwierdzić się w pewności, żeśmy bardzo

ważni ludzie potrzebne nam było rozumowanie, któreby usprawiedliwiało naszą działalność. I oto wymyśliliśmy co następuje: wszystko co istnieje jest rozumne. Wszystko, co istnieje — ulega rozwojowi. Rozwój zawdzięczamy oświacie. Oświatę mierzy się rozpowszechnianiem książek i gazet. A nam płacą pieniądze i szanują nas za to, że piszemy książki i gazety i dlatego jesteśmy najpotrzebniejszymi i najlepszymi ludźmi. Rozumowanie to byłoby bardzo dobre, gdybyśmy się wszyscy zgadzali; ale ponieważ każda myśl, wypowiedziana przez jednego z nas, znajdowała myśl djametralnie przeciwną, wypowiedzianą przez innego, powinniśmy się byli opamiętać. Ale myśmy tego nie dostrzegali; nam płacili pieniądze i ludzie naszej partji nas chwalili, — a więc każdy z nas z osobna uważał się za sprawiedliwego. Teraz widzę jasno, że podobieństwo do domu warjatów było zupełne; ale wówczas niejasno zdawałem sobie z tego sprawę i jak wszyscy obłąkani, wszystkich miałem za szaleńców, za wyjątkiem siebie.

III.

Tak żyłem oddany temu szaleństwu na sześć lat przed moją żeniaczką. W tym czasie wyjechałem zagranicę. Życie w Europie i zbliżenie się z wybitnymi i uczonymi ludźmi utwierdziły mnie jeszcze w mem przekonaniu o udoskonaleniu się, gdyż to samo przekonanie znalazłem u nich. Ta wiara znalazła we mnie tę zwykłą formę, którą znajduje ona u większości wykształconych ludzi. Wiara ta wyrażała się słowem „postęp”. Wówczas zdawało mi się, że wyraz ten coś oznacza. Nie pojmowałem jeszcze tego, że dręczony, jak każdy żyjący człowiek, pytaniami, jak żyć najlepiej, tą odpowiedzią; żyć zgodnie z postępem, odpowiadam zupełnie tak samo, jakby odpowiedział człowiek niesiony w łódce falą i wichrami, gdyby na jedyne ważne dla niego pytanie: czego się trzymać odpowiedział: „płyniemy z prądem”. Wówczas tego nie dostrzegałem. Tylko czasami, nie rozum, a uczucie podnosiło bunt przeciw temu ogólnemu przesądowi którym ludzie osłaniają swoje niepojmowanie życia. Podczas bytności mojej w

Paryżu, widok kary śmierci uwidocznili mi kruchość mego przesądu do postępu. Gdy spostrzegłem jak głowa oddzielała się od ciała i stuknęła w pudełku, pojąłem — nie rozumiem, a całym jestestwem, że żadna teoria celowości istniejącego porządku i postępu nie może tego faktu usprawiedliwić i jeżeliby nawet wszyscy ludzie, opierając się na jakichbądź teoriach, od początku świata uznawali, że to jest potrzebne, — ja wiem, że to jest nie potrzebne, że to jest złem i że z tego powodu sędzią złego i dobrego, nie jest ludzka opinia, ani postęp, ale ja sam i moje serce. Drugim wypadkiem, w którym zauważyłem, że przesąd o postępie nie wystarcza w życiu, była śmierć mego brata. Rozumny, dobry, poważny człowiek zachorował młodo, cierpiał więcej aniżeli rok i w męczarniach umarł, nie rozumiejąc poco żył i dlaczego umiera. Żadne teorie nie mogły dać odpowiedzi na te pytania ani mnie, ani jemu podczas tego powolnego konania. Ale były to tylko wyjątkowe wypadki zwątpienia, w rzeczywistości żyłem wyznając jedynie wiarę w postęp. „Wszystko się rozwija i ja się roz-

wijam, a poco się rozwijam razem ze wszystkim — to się okaże. Takbym wówczas sformułował moje wyznanie wiary.

Powróciwszy z zagranicy, zamieszkałem na wsi zajęłem się włościańskimi szkołami. Zajęcie to przypadło mi do serca, gdyż w niem nie było tego, widocznego już dla mnie, kłamstwa, które mnie w oczy kłuło podczas mojej działalności literackiej. Tutaj działałem także w imię postępu, ale odnosiłem się do postępu krytycznie. Mówiłem sobie, że postęp w niektórych swych przejawach odbywał się nieprawidłowo i że w stosunku do ludzi pierwotnych, dzieci wiejskich, trzeba zostawić im całą swobodę i pozwolić na wybór tej drogi do postępu, która im najlepiej odpowiada. W samej rzeczy ciągle obracałem to samo nierozwiązalne zagadnienie, żeby uczyć, nie wiedząc samemu, czego mam uczyć. W wyższych sferach literackiej działalności pojąłem, że nie można uczyć, nie wiedząc czego się ma uczyć, bo widziałem, że każdy uczy czego innego i dysputami maskuje przed samym sobą swoje nieuctwo; tu zaś z chłopskimi dziećmi, sądziłem, że można ominąć ten

skrupuł, pozwalając dzieciom uczyć się tego, czego same zechcą. Teraz śmiech mnie ogarnia na wspomnienie, jakim się wykręcał, aby zadowolnić moją chęć nau czania, chociaż w głębi duszy dobrze wiedziałem, że nie mogę uczyć niczego pożytecznego, bo sam nie wiem co jest pożyteczne. Po roku spędzonym na zajęciach w szkole pojechałem poraz drugi zagranicę, żeby tam się dowiedzieć jakby to można samemu nic nie umiejąc, uczyć innych.

I zdawało mi się, że się już tego wszystkiego wyuczył zagranicą i zbrojny tą całą mądrością, w roku oswobodzenia włościan wróciłem do Rosji i zajmąwszy miejsce pośrednika, zacząłem uczyć nieoświecony lud w szkołach i oświeconych ludzi w gazecie, którą wydawałem. Robota, napozór szła dobrze, ale czułem że nie jestem zupełnie zdrów umysłowo i że to tak dłużej trwać nie może. I wówczas być może doszedłbym do tego rozpaczliwego położenia, w którym się znalazłem po latach piętnastu, żeby nie to, że istniało jeszcze coś w życiu nieznanego mi, a obiecującego zbawienie, a tem było życie rodzinne. Przez rok cały zajmowa-

łem się szkołami i gazetą i zmęczyłem się głównie tem, że się w to wszystko wplątałem. Ciężką mi była ta walka, niejasną wyeła mi się działalność w szkołach, obrzydło mi krętactwo w gazecie, polegając zawsze jedynie na pragnieniu uczenia wszystkich i ukrycia tego, że sam nie wiem czego mam uczyć. Zachorowałem więcej duchowo, aniżeli fizycznie, rzuciłem wszystko i pojechałem w step do baszkirów — aby odetchnąć powietrzem, pić kęmys i żyć życiem zwierzęcem.

Po powrocie stamtąd ożeniłem się. Nowe warunki szczęśliwego, rodzinnego życia oderwały mnie od poszukiwania celu życia, Całe moje życie skoncentrowało się wówczas w rodzinie, żonie, dzieciach i w trosce o powiększenie dobrobytu. Dążenie do udoskonalenia, zamienione poprzednio na dążenie do postępu, teraz zmieniło się wprost na dążenie, aby mnie z rodziną było jaknajlepiej.

Tak minęło jeszcze lat piętnaście. Pomimo, że lekceważyłem piśmiennictwo, podczas tych lat piętnastu ciągle pisałem. Zakosztowałem już ponęty literatury, ponęty olbrzymiego pieniężnego wynagro-

dzenia i poklasku za niewielką pracę i oddawałem się jej dla polepszenia materialnego bytu i zagłuszenia w duszy wszelkich pytań o celowości życia ludzkiego.

Pisałem, ucząc tego jedynego dla mnie aksjomatu, że trzeba żyć tak, żeby człowiekowi i rodzinie jego było jaknajlepiej. Tak też i żyłem, ale pięć lat temu zdarzyło się zemną coś dziwnego: zaczęły mnie nąchodzić chwile, z początku jakby nieświadomości, zahamowania życia, jak gdybym nie wiedział jak mam żyć, co mam robić i dusza moja mroczyła się i posepniała. Ale to mijalo i żyłem znów po dawnemu. Różnie te chwile nieświadomości nąchodziły mnie częściej i ciągle w tej samej formie. To zahamowanie życia wyrażalo się zawsze jednakowem pytaniem: poco? No, a potem?

Z początku zdawało mi się, że to takie sobie — bezcelowe, nie na miejscu pytania. Zdawało mi się to wszystko wiadomem i że o ile zechcę zająć się rozwiązaniem tych pytań, dokonam tego z łatwością, — że obecnie nie mam czasu zająć się tem, ale gdy zechcę, znajdę odpowiedź. Ale częściej i częściej powta-

rzały się pytania, coraz natarczywiej żądając odpowiedzi i jak krople, padając ciągle na to samo miejsce zlały się razem w jedną wielką plamę.

Stało się to, co się dzieje z każdym przed ciężką wewnętrzną chorobą. Z początku pojawiają się drobne oznaki niedomagania, na które chory nie zwraca uwagi, potem oznaki te powtarzają się coraz częściej i łączą się w jedno cierpienie. Cierpienie wzrasta i chory zanim się obejrzy już sobie uświadamia, że to co uważał za niedomaganie, jest tem, co dla niego najważniejsze na świecie—że to śmierć.

To samo stało się i zemną. Zrozumiałem, że to nie przypadkowe niedomaganie, a coś bardzo ważnego i że jeżeli te pytania będą się powtarzać, to trzeba na nie odpowiedzieć. Pytania zdawały się takimi głupimi, prostymi, dziecinnymi pytaniami. Ale tyłkom się ich dotknął i próbowałem rozwiązać, zaraz się przekonałem popierwsze, że èie są to dziecinne i głupie pytania, a po drugie, że nie mogę i nie mogę, chociażbym nie wiem jak długo myślał, rozwiązać ich. Zanim się mam zająć majątkiem w samarskiej gubernji,

wychowaniem syna, pisanem książki, trzeba wiedzieć poco mam to wszystko robić. Pokąd nie wiem po co, nie mogę nic robić, nie mogę żyć. Podczas moich rozmyślań o gospodarstwie, które mnie wówczas bardzo zajmowały, przychodziła mi do głowy myśl: „No, dobrze, będziesz miał 6,000 dziesięcin w samarskiej gubernji — 300 koni, a potem co?...” I nie wiedziałem co myśleć dalej. Albo zastanawiając się nad tem, jakby lud mógł dojść do dobrobytu, nagle mówiłem sobie: „A mnie co do tego?” Albo, myśląc o sławie, którą mi zyskają moje dzieła, mówiłem sobie: „No, dobrze będziesz sławniejszym od Gogoła, Puszkina. Szekspira, od wszystkich pisarzy na świecie, — no i cóż stąd .”

I nie mogłem znaleźć żadnej odpowiedzi. Pytania nie czekają, trzeba na nie „odpowiedzieć” natychmiast, bez tej odpowiedzi nie mogę żyć. A odpowiedzi niema.

Poczułem, że podstawy, na których oparłem życie, załamały się, że nie mam się o co oprzeć, że tego, czem żyłem — już niema, że nie mam celu w życiu.

IV.

Życie moje zatrzymało się. Mogłem oddychać, jeść, pić, spać i nie mogłem nie oddychać, nie jeść, nie pić i nie spać; ale to nie było życiem dlatego, że nie miałem takich pragnień, których zaspakajanie nazwałbym rozumnem. Jeżeli życzyłem sobie czego, zgóry zdawałem sobie sprawę, że jeśli nawet spełni się moje życzenie i tak nic z tego dobrego nie wyjdzie. Jeśliby przyszła dobra wróżka i przyrzekła mi spełnić wszystkie moje życzenia, nie wiedziałbym co powiedzieć. Jeżeli w chwilach podniecenia nachodziły mnie nie pragnienia, ale przyzwyczajenia dawnych pragnień, to w chwilach wytrzeźwienia wiedziałem, że to złuda, że nie warto pragnąć. Nawet nie pragnąłem poznać prawdy, bo się domyślałem na czem ta prawda polegała. Prawdą było, że życie jest bezmyślne. Ni by to żyłem — żyłem, szedłem — szedłem, aż doszedłem do skraju przepaści i ujrzałem jasno, że przedemną nie mam nic, oprócz zguby. I zatrzymać się nie można, i powrotu niema, i nie można oczu zamknąć, aby nie widzieć, że nic

mnie w przyszłości nie czeka, prócz cierpień i śmierci — zupełnego unicestwienia. I stało się to, że ja — zdrowy, szczęśliwy człowiek — poczułem, że nie mogę żyć dłużej — jakaś niepokonana siła ciągnęła mnie do tego, aby się w jakibądź sposób uwolnić od życia. Nie mogę powiedzieć, żebym chciał się zabić. Siła, która mnie odciągała od życia, była silniejszą od mojej woli. Była to moc podobna do poprzedniego pragnienia życia, ale działająca w odwrotnym kierunku. Wszystkimi siłami oddalałem się od życia. Myśl o samobójstwie nasunęła mi się tak naturalnie, jak pierwiej nasuwały mi się myśli o upiększeniu życia. Myśl ta tak była ponętną, że musiałem względem samego siebie uciekać się do wybiegów, aby jej zbyt prędko w czyn nie wprowadzić. Nie chciałem się spieszyć jedynie dlatego, że chciałem użyć wszystkich wysiłków, żeby się wyplątać z tego położenia, jeżeli się nie wyplączę, to zawsze zdążę skończyć z sobą. I oto ja szczęśliwy człowiek, chowałem przed samym sobą, sznurek, żeby się nie powiesić pomiędzy szafami w swoim pokoju, gdzie rozbierając się co wieczór

byłem sam i przestałem chodzić na polowanie, aby nie uleść pokusie odebrania sobie życia. Ja sam nie wiedziałem czego chcę: bałem się życia, uciekałem od niego, a pomimo to, czegoś się jeszcze od życia spodziewałem.

A stało się to zemną wówczas, kiedy otaczało mnie to, co się uważa za zupełne szczęście: było to wówczas, kiedy nie miałem jeszcze lat pięćdziesięciu. Miałem dobrą, kochającą i kochaną żonę, dobre dzieci, duży majątek, który bez mojej pracy rósł i powiększał się.

Więcej jeszcze, aniżeli kiedykolwiek otoczony byłem szacunkiem bliskich i znajomych, pochwałami obcych; mogę wyznać to bez zbytniej zarozumiałości, cieszyłem się rozgłosem. Przytem nie byłem umysłowo chory, — przeciwnie, byłem w pełni sił duchowych i fizycznych, jakie rzadko spotykałem u moich rówieśników: fizycznie — mogłem kosić siano, nie ustępując na krok chłopom; umysłowo — mogłem pracować osiem godzin z rzędu i taki wysiłek nie sprowadzał dla mnie żadnych złych następstw. I pomimo to, doszedłem do tego, że nie mogłem żyć, a obawiając

się śmierci, musiałem wybiegami bronić się przeciw sobie samemu, aby nie skończyć samobójstwem.

Stan mój duchowo wyrażał się dla mnie tak: życie moje, to jakiś głupi i zły żart, na który sobie ktoś pozwolił.

Bez względu na to, że nie uznawałem żadnego „kogoś”, który by mnie stworzył, takie sformułowanie myśli, że ze mnie zadrwił ktoś złośliwie i głupio, wydając mnie na świat, było dla mnie najbardziej naturalne.

Mimowoli miałem wrażenie, że tam gdzieś jest ktoś, który drwi teraz, patrząc na mnie, jak całych 30 — 40 lat żyłem, żyłem ucząc się, rozwijałem się, rosłem ciałem i duchem i jak teraz dojrzawszy zupełnie na umyśle, doszedłszy do tego szczytu, z którego ogarnąć można całe życie stanąłem na tym szczycie jak ostatni głupiec, zrozumiawszy wyraźnie, że w życiu nic niema, nic nie było i nie będzie. „A jego to bawi.”

Ale czy istnieje, czy nie istnieje, ktoś co się ze mnie śmieje, to nie przynosi mi ulgi.

Nie mogłem przyznać zdrowego sen-

su ani jednemu z mych życiowych postępów. Dziwiło mnie tylko jedno, że tego od samego początku nie zrozumiał. Wszystko to już tak dawno wiadome jest wszystkim. Nie dziś — to jutro przyjdą choroby, śmierć, zabiorą mi drogich moich, mnie samego i nic nie pozostanie prócz zgnilizny i robaków. Dzieła moje, jakimikolwiek byłyby, pójdą w zapomnienie prędzej czy później, a mnie nie będzie. Więc o co się troskać? Jak może człowiek nie wiedzieć tego i żyć — to dziwne. Można żyć dopóty, póki samo życie upaja, ale z chwilą otrzeźwienia nie można nie wiedzieć, że wszystko to oszukaństwo i głupie oszukaństwo! Ot co, życie nie jest nawet dowcipne i zabawne, a poprostu okrutne i głupie. Stara to wschodnia bajka o podróżnym, napadniętym w stepach przez dzikie zwierzę. Szukając ocalenia przed zwierzęciem, podróżny wskakuje do wyschniętej studni, ale na dnie studni spostrzega smoka z rozwartą paszczą, chcącego go pożreć. I nieszczęśliwy, nie ośmielając się wyjść ze studni, aby nie zginąć od dzikiego zwierzęcia, i nie ośmielając się skoczyć na dno, aby nie być

pożartym przez smoka, chwytą za gałęzie rosnącego w szczelinie studni dzikiego krzewu i trzyma się go oburącz. Ręce jego słabną i czuje, że wkrótce będzie musiał poddać się, gdyż zguba czyha nań z obu stron; ale wciąż się trzyma i widzi, że dwie myszy, czarna i biała, obchodzą równomiernie pień zbawczego krzewu, na którym zawisnął i toczą go; tylko, tylko patrzeć, jak się krzew oberwie, a on wpadnie w rozwartą paszczę smoka. Podróżny widzi to i wie, że nie ujdzie zguby, ale dopóki wisi, szuka w koło siebie i znajduje na liściach krzewu krople miodu, dosięga ich językiem i liże je. Tak ja się trzymam gałęzi życia, widząc, że czeka na mnie nieunikniony smok śmierci, gotowy mnie rozszarpać i nie mogę pojąć, czemu popadłem w takie męki. I staram się ssać ten miód, który mnie dawniej upajał, a który już mi nie smakuje, a biała i czarna mysz dzień i noc toczą gałązkę, na której się trzymam. Wyraźnie widzę smoka i już nie czuję słodczy miodu. Widzę jedno—nieuniknionego smoka i myszy — i nie mogę odwrócić od nich oczu. I to nie bajka, to prawdziwa, bezsporna i dla każdego zrozumiała prawda.

Poprzednia złuda rozkoszy życia, zagłuszająca strach przed smokiem, już mnie nie zwodzi, choćby mi powtarzano: nie możesz zrozumieć sensu życia—nie myśl, żyj; nie mogę zrobić tego, dlatego, że za długo robiłem to dawniej. Teraz nie mogę nie widzieć dnia i nocy biegnących i prowadzących mnie do śmierci. Widzę tylko to jedno, dlatego, że tylko to jedno, jest prawdą. Reszta wszystko — kłamstwo. Te dwie krople miodu, które najdłużej osładzały mi okrutną rzeczywistość — miłość do rodziny i literatury, którą nazywałem sztuką straciły już swoją słodycz. „Rodzina...” mówiłem sobie; — ależ rodzina — żona i dzieci; to także ludzie. I oni są w tych samych warunkach co ja: muszą albo żyć kłamstwem, albo widzieć straszliwą rzeczywistość. Poczóż mają żyć? Poczóż mam ich kochać, strzec i wychowywać? Aby zwątpili tak jak ja, albo aby byli tępymi? Kocham ich, a więc nie mogę ukrywać przed nimi prawdy, — każdy krok do uświadomienia, prowadzi ich do tej prawdy. A prawda — to śmierć”.

„Sztuka, poezja...” długo pod wpływem pochwał ludzkich wierzyłem, że to

praca, której warto poświęcić życie, bez względu na to, że przyjdzie śmierć, która zakończy wszystko — I moje dzieła i pamięć o nich; ale wkrótce spostrzegłem się, że i to jest oszustwo. Dostrzegłem jasno, że sztuka jest ozdobą życia, przynętą życia. Ale życie przestało mnie nęcić, jakże więc mógłbym nęcić innych. Pokąd nie żyłem swoim życiem, a tylko cudze życie niosło mnie na swoich falach, pokąd wierzyłem, że życie ma sens, chociaż ja go nie umiem sformułować, — odzwierciedlenie życia w poezji i sztuce sprawiało mi radość, przyjemnie mi było widzieć odbicie życia w tym zwierciadle sztuki; ale kiedy zacząłem odszukiwać cel życia, kiedy poczułem, że muszę sam żyć — zwierciadło stało mi się niepotrzebnem, zbytecznem i śmiesznem, albo męczącym. Nie mogłem się tem pocieszać, że widzę w lustrze moje głupie i rozpaczliwe położenie. Mogło mnie to cieszyć, gdy w głębi duszy wierzył, że życie moje ma sens. Wówczas to gra swiateł—komizmu, tragiczmu, wzruszeń, piękna i okropności w życiu. — bawiła mnie. Ale kiedy się dowiedział, że życie jest bezmyślne i przera-

żające — gra w zwierciadle już mnie nie mogła bawić. Nie odczuwałem słodyczy miodu od chwili, kiedy ujrzałem smoka i myszy, nadgryzające moją podstawę. Ale i tego mało. Jeślibym poprostu zrozumiał że życie niema sensu, przyjąłbym to spokojnie i pogodził się z losem. Ale to mnie nie mogło uspokoić. Gdybym był jak człowiek, żyjący w lesie, z którego niema wyjścia, mógłbym żyć; ale ja byłem, jak człowiek błądzący w lesie, owładnięty przestraciem i szukający drogi.

Oto co było okropne. I chcąc się uwolnić od tej przerażającej świadomości, chciałem się zabić. Strach mnie ogarnął na samą myśl o tem, co mnie czeka, — wiedziałem, że strach ten jest najgorszym w całym moim położeniu, ale nie mogłem cierpliwie dotrzeć do końca. Jakkolwiek przekonywajacem było rozumowanie, że wszystko jedno, pęknie naczynie w sercu albo przerwie się cośkolwiek i wszystko się skończy, nie mogłem cierpliwie czekać końca. Lęk przed ciemnią był zbyt wielki i chciałem copędzej, copędzej wybawić się od niego kulą, albo pętlą. Otóż to uczucie silniej nadewszystko popychało, ciągnęło mnie do samobójstwa.

V.

Może ja czegoś nie dostrzegłem, nie zrozumiałem?— powtarzałem sobie nieraz. Niepodobna, żeby ten stan rozpaczliwy był udziałem ludzi.” I szukałem objaśnienia, odpowiedzi, na moje wątpliwości, pytania, we wszystkich naukach, które wytworzyli ludzie. Szukałem długo i z wysiłkiem, nie ze zwykłej ciekawości, nie powierzchniwnie szukałem, ale szukałem w udręczeniu, z uporem dni i nocę—szukałem, jak szuka człowiek ginący, ratunku, — i nic nie znalazłem.

Szukałem we wszystkich naukach i nietylko nie znalazłem, ale przekonałem się, że wszyscy, którzy tak jak ja szukali że to co mnie doprowadzało do rozpacz — bezmyślność życia, jest jedyną, niezbitą prawdą, dostępną dla człowieka.

Szukałem wszędzie i dzięki temu, że życie poświęciłem nauce, a również dzięki temu, że przez stosunki ze światem literackim znałem osobiście uczonych wszystkich gałęzi wiedzy, którzy mi objaśnień udzielali chętnie w książkach swych i w rozmowie — dowiedziałem się wszy-

stkiego, co na pytania o życiu odpowiada wiedza. — Długo nie chciałem wierzyć że wiedza nic innego nie odpowiada na pytania życiowe. Długo zdawało mi się, sądząc z poważnego tonu nauki, głoszącej pewniki, nie mające nic wspólnego z życiowymi pytaniami ludzkimi, że czegoś nie rozumiałem. Długo ogarniała mnie nieśmiertelność wobec wiedzy i zdawało mi się, że jeżeli nie mogą znaleźć odpowiedzi na moje pytania, to nie z winy nauki, a z winy mojego nieuctwa.

Kwestja ta była dla mnie nie igraszką, ale kwestją życia lub śmierci, mimowoli więc doszedłem do wniosku, że moje pytania powinny stanowić podstawę każdej nauki i że nie ja jestem winien a wiedza, jeśli ma pretensję do odpowiadania na te pytania.

Pytanie to, które w pięćdziesiątym roku życia pchało mnie do samobójstwa, było to najprostsze pytanie, leżące w duszy każdego człowieka, od głupiego dziecka do mądrego starca — to pytanie, bez rozwiązania którego życie nie jest możliwe, jakem tego w istocie doświadczył.

Pytanie owo formuluje się tak: „na

co się zda to co robię dziś, co będę robił jutro — na co się zda całe moje życie?" Inaczej można to wyrazić: „poco ja żyję, poco czegoś pragnę, poco mam coś robić?" Jeszcze inaczej da się to wyrazić tak: „czy jest w życiu mem cel, którego by nie zniszczyła nieunikniona, czekająca śmierć?"

Na to jedyne, rozmaicie wyrażone pytanie szukałem odpowiedzi w ludzkiej wiedzy. I doszedłem do wniosku, że w stosunku do tych pytań cała nauka dzieli się na dwie jakby przeciwległe półkule, na których są dwa bieguny: jeden — dodatni, drugi — ujemny, ale że ani na jednym, ani na drugim biegunie niema odpowiedzi na kwestje życiowe.

Jedne gałęzie wiedzy jakoby nie uznają pytania, ale zato jasno i wyraźnie odpowiadają na swe pytania, postawione niezależnie: są to — gałęzie nauk doświadczalnych, a na ich punkcie krańcowym stoi matematyka; inne gałęzie wiedzy uznają pytanie, ale nań nie dają odpowiedzi są to — gałęzie nauk teoretycznych, a na ich punkcie krańcowym — metafizyka.

Od wczesnej młodości zajmowały

mnie nauki, ale później nauki metafizyczne i przyrodnicze osiągnęły mnie ku sobie i dopóki jasno nie sformułowałem tego pytania, póki to pytanie nie wyrosło we mnie, póty zadawały mi te falsyfikaty odpowiedzi, które daje nauka.

W dziedzinie nauk ścisłych, doświadczalnych mówiłem sobie: „Wszystko się rozwija, różniczkuje, staje się coraz bardziej złożonem i doskonalem i są prawa, kierujące tym rozwojem. Ty jesteś częścią całości. Poznawszy, o ile to jest możliwe całość i prawa jej rozwoju, poznasz i samego siebie i swoją rolę w tej całości“. Jakkolwiek wstyd mi to wyznać, był czas kiedy mi to pozornie zadawało. Był to czas, w którym sam się rozwijałem. Muskuly moje rosły i tężały, pamięć wzbogacała się, zdolność myślenia i pojmowania powiększała się, rosłem i rozwijałem się, i czując ten rozwój, uważałem za naturalne, że takim jest prawo wszechświata, w którym znajdę rozwiązanie i pytanie mego życia. Ale przyszedł czas, w którym rozwój mój się zatrzymał,— poczułem, że się nie rozwijam, a wiedzied, że muskuly moje słabną, zęby wypadają,—

i spostrzegłem, że prawo to nietylko nic mi nie wyjaśniło, ale że prawa takiego nigdy nie było i nie mogło być; a ja wziąłem za prawo to, co się do mnie jedynie odnosiło w pewnym tylko okresie życia. Zacząłem poważniej badać to prawo i zrozumiałem jasno, że praw nieskończonego rozwoju być nie może, że powiedzieć: w nieskończonej przestrzeni i czasie wszystko się rozwija, doskonali, staje się bardziej złożonem, to znaczy nic nie powiedzieć. Wszystko to są słowa bez znaczenia, gdyż w nieskończoności niema ani złożonego, ani prostego, ani dobrego, ani złego.

Co najważniejsza, moja osobista kwestja: czem jestem i jakie są moje pragnienia? — zostawała już zupełnie bez odpowiedzi. I zrozumiałem, że wiedza bardzo jest interesującą i ociągającą, ale że jej dokładność i jasność jest odwrotnie proporcjonalną do jej życiowego zastosowania; im mniej odnosi się do kwestji życiowych, tem jest dokładniejszą i jaśniejszą, im bardziej stara się odpowiadać na pytania życiowe, tembardziej staje się niejasną i niezajmującą. Jeśli się zwrócić do

tych gałęzi wiedzy, które starają się odpowiadać na pytania życiowe — do fizjologii, psychologii, biologii, socjologii, spotkamy tu uderzające ubóstwo myśli, wielką niejasność, niczem nieusprawiedliwioną pretensję do rozwiązania nienależących do rzeczy pytań i nieustanne wpadanie w sprzeczność jednego myśliciela z drugim lub nawet z samym sobą.

Jeśli zwrócić się do gałęzi wiedzy, które się nie zajmują rozwiązaniem kwestji życiowych, ale odpowiadają na swe specjalne naukowe zagadnienia, zachwyca nas siła ludzkiego rozumu, ale z góry wiemy, że nie znajdziemy odpowiedzi na życiowe pytania. Te nauki wprost lekceważą pytania życiowe. Powiadają one: „na to, czem jesteś i poco żyjesz nie mamy odpowiedzi i nie zajmujemy się tem, ale jeżeli chcesz znać prawa rządzące światem, związkami chemicznymi, prawa rozwoju organizmów, jeśli chcesz znać prawa ciała, form i stosunek liczb i wielkości, jeśli chcesz znać prawa rządzące twym rozumem to na to wszystko mamy jasne, ścisłe i niezbite odpowiedzi“.

Wogóle stosunek nauk ścisłych do

kwestji życiowych może być tak wyrażonym: Pytanie: Po co żyję? — Odpowiedź: w nieskończenie wielkiej przestrzeni, w nieskończonym okresie czasu, nieskończenie małe cząsteczki zmieniają się w nieskończenie złożonych formach i kiedy zrozumiesz prawa tych zmian, wtedy zrozumiesz poco żyjesz.

W sferze teoretycznej mówiłem sobie: „ludzkość cała żyje i rozwija się na podstawie moralnych zasad, ideałów, które nią kierują. Te ideały znajdują wyraz w religii, w nauce, sztuce, formach państwowych. Ideały te stają się coraz wyższe, ludzkość dąży do coraz lepszego dobra. Ja jestem częścią ludzkości, a więc powołanie moje polega na współdziałaniu do uświadomienia i urzeczywistnienia ideałów ludzkości”. I w czasie mojego umysłowego ograniczenia zadawałbym się tem; ale kiedy we mnie jasno powstały życiowe pytania, cała teoria momentalnie runęła. Nie mówiąc o tym nieustannym braku ścisłości, z którym nauki tego rodzaju podają wnioski, wyprowadzone z badań nad małą częścią ludzkości, za wnioski ogólne, nie mówiąc o sprzecznych

sądach różnych stronników tego poglądu, na czem mianowicie polegają ideały ludzkości, — dziwactwo, żeby nie powiedzieć głupota tego poglądu, polega na tem, że dlatego, aby odpowiedzieć na pytanie, które zajmuje każdego człowieka: „czem jestem”, albo: „poco żyję”, albo „co mam robić” — człowiek naprzód musi rozwiązać pytanie „co to jest życie całej, nieznaney mu ludzkości, z którego nie zna nawet jednej drobnutkiej cząsteczki, w najkrótszym okresie czasu. Dla tego aby pojąć czem jest sam, człowiek ma wprzód pojąć, czem jest ta cała tajemnicza ludzkość, składająca się z takich jak i on ludzi, nie pojmujących samych siebie.

Muszę przyznać, że był czas kiedym temu wierzył. Był to czas, w którym miałem ideały, usprawiedliwiające moje zachcianki, i starałem się wynaleźć taką teorię, któraby mi pozwoliła uważać moje zachcianki za prawo ludzkości. Ale gdy w duszy mojej powstało pytanie życiowe w całej swej jasności, odpowiedź ta rozsypała się jak proch. I zrozumiałem, że tak jak w naukach doświadczalnych są prawdziwe nauki i półnauki, usiłujące dać

odpowieź na nienależące do nich zapytania, tak i w tej dziedzinie zrozumiałem, że jest cały szereg najbardziej rozpowszechnionych nauk starających się całkowicie lub nawpół tylko odpowiadać na nienależące do nich pytania.

Półnauki tej dziedziny wiedzy—nauki prawne, socjalne-historyczne — starają się rozwiązać pytania człowieka w ten sposób, że nibyto każda po swojemu rozwiązuje pytania życiowe całej ludzkości.

Ale jak w dziedzinie nauk doświadczalnych człowiek szczerze szukający odpowiedzi na pytanie jak ma żyć, nie może zadowolnić się frazesem; poznaj w nieskończonej przestrzeni nieskończone co do czasu i nieskończenie złożone zmiany cząsteczek, a wtedy zrozumiesz swoje życie, — tak samo nie może szczerzy człowiek zadowolnić się odpowiedzią: poznaj życie całej ludzkości, którego początku, ani końca znać nie możemy, którego nie znamy ani w małej części, a wtedy zrozumiesz swoje życie. I zupełnie tak samo, jak w pół-naukach doświadczalnych i te pół-nauki tembardziej stają się niejasne, niedokładne, pełne głupstw i sprzeczności, im bardziej się od-

chylają od swoich zadań. Zadaniem nauki doświadczalnej jest przyczynowa kolejność zjawisk materialnych. Wystarcza do nauki doświadczalnej wnieść pytanie o naturalnej przyczynie, a — wypadnie nonsens. Nauka teoretyczna przyznaje bezprzyczynową istotę życia. Wystarcza wprowadzić badanie przyczynowych zjawisk, jak np. zjawisk społecznych, historycznych, a wyjdzie głupstwo.

Nauki doświadczalne póty tylko dają pozytywną wiedzę i wykazują wielkość ludzkiego umysłu, póki nie wprowadzają do swych badań ostatecznej przyczyny. I naodwrot teoretyczna wiedza — póty tylko jest wiedzą i wykazuje wielkość ludzkiego umysłu, póki omija zupełnie pytanie o następstwie przyczynowych zjawisk i zajmuje się człowiekiem tylko w stosunku do ostatecznej przyczyny.

Taką jest nauka, stanowiąca biegun tej dziedziny nauk: metafizyka albo filozofja. Nauka ta jasno stawia pytanie: czem jestem, czem jest świat cały i poco jestem, i poco jest świat cały? I odkąd powstała, odpowiada zawsze jednakowo.

Czy to idee, czy substancje, ducha

czy wolę, filozof nazywa treścią życia, znajdującą się we mnie i we wszystkim co istnieje, filozof mówi jedno, że ta treść istnieje, i że ja jestem tą treścią; ale po co istnieje, tego nie wie i nie odpowiada na to pytanie, jeśli jest prawdziwym myślicielem. Pytam: pocóż ta treść? Cóż z tego wyniknie, że ona jest i będzie?.. A filozofja nietylko, że nie odpowiada, ale sama właśnie o to pyta. I jeśli jest prawdziwą filozofją, to całe jej zadanie polega na tem jedynie, aby jasno postawić to pytanie. I jeśli nie chce odstąpić od swego zadania, to nie może odpowiadać inaczej, jak na pytanie czem jestem ja i świat cały — wszystkim i niczem, a na pytanie: dlaczego? „nie wiem”.

Więc żebym nie wiem jak obracał te teoretyczne odpowiedzi filozofji, nie otrzymam nic podobnego do odpowiedzi, i nie dlatego, żeby jak w dziedzinie nauk ścisłych, doświadczalnych odpowiedzi nie odnosiła się do mego pytania, a dlatego że tu, choć cały wysiłek umysłowy skierowany jest właśnie na moje pytanie, odpowiedzi niema, a zamiast odpowiedzi, otrzymuje się toż samo pytanie, w formie bardziej złożonej.

VI.

W poszukiwaniu odpowiedzi na pytania życiowe doznawałem zupełnie tegoż uczucia, którego doznaje człowiek błądzący po lesie.

Wszedł na polankę, wszedł na drzewo i zobaczył wyraźnie bezgraniczną przestrzeń, ale zobaczył że domu tam niema i być nie może; poszedł w gęstwinę, w zmrok i ujrzał zmrok, a domu jak niema, tak niema.

Tak i ja błądziłem w tym lesie nauk ludzkich między przeblyskami nauk matematycznych i doświadczalnych, odkrywających mi jasne horyzonty, ale w tym kierunku nie mogło być domu, i w mroku nauk teoretycznych, wśród których, im dalej się posuwałem, tembardziej zapadałem w ciemnię i nareszcie przekonałem się, że wyjścia niema i być nie może.

Oddając się jasnej stronie nauk, rozumiałem, że tylko sam siebie odprowadzam od zapytania. Jakkolwiek jasne i ponętne były horyzonty, otwierające się przedemną, jakkolwiek nęciło mnie pograżanie się w nieskończoność tych nauk,

rozumiałem już, że te nauki, tembardziej są jasne, im mniej są mi potrzebne, im mniej odpowiadają na moje pytanie.

Wiem już — mówiłem sobie — wszystko, co tak uporczywie pragnie widzieć nauka, a odpowiedzi na pytanie o celu mego życia nie znalazłem na tej drodze. W sferze nauk teoretycznych rozumiałem, że bez względu na to, a może właśnie dlatego, iż cel nauki był wprost skierowany na moje pytanie, odpowiedzi niema innej, jak ta, którą sam sobie dałem: jaki cel mego życia? — Żaden. Albo: co będzie z mego życia? — Nic. Albo: poco istnieje wszystko to, co istnieje, i poco ja sam istnieję? — Poto że istnieje.

Badając jedną część ludzkich nauk, otrzymywałem nieskończoną ilość dokładnych odpowiedzi na to, o co się nie pytałem: o chemicznym składzie gwiazd, o ruchach słońca ku konstelacji Herkulesa, o pochodzeniu gatunków i człowieka, o formach nieskończenie małych, niezmiernych cząsteczek eteru: ale odpowiedź w tej sferze nauk na moje pytanie: jaki sens ma moje życie, — była jedna: ty sam jesteś tem, co nazywasz swoim ży-

ciem; ty jesteś -- czasowem, przypadkowem złączeniem cząsteczek. Wzajemne oddziaływanie, przemiana tych cząsteczek powoduje to, co nazywasz swem życiem. Złączenie to potrwa czas jakiś; potem wzajemne oddziaływanie cząsteczek ustanie -- i skończy się to, co nazywasz życiem, skończą się twoje pytania. Jesteś przypadkowo zlepioną bryłką. Bryłka gnieje. Gnicie to bryłka nazywa swem życiem. Bryłka rozleci się -- skończy się gnicie i wszystkie pytania.

Tak odpowiada jasna strona wiedzy i nie może nic innego odpowiedzieć, jeśli chce ściśle się trzymać swych podstaw. Taka odpowiedź nie odpowiada wprost na pytanie. Chcę poznać cel mojego życia, a to, że ono jest cząsteczką nieskończoności, nietylko że nie oddaje mu sensu, ale odejmuje jakikolwiek sens.

Te zaś niejasne ustępstwa, które robi nauka doświadczalna na korzyść nauki teoretycznej i przy których się mówi, że sens życia polega na rozwoju i współdziałaniu rozwojowi, tak są nieściśle, że nie można ich uważać za odpowiedzi.

Druka dziedzina wiedzy, teoretyczna,

Jeżeli wiernie się trzema swych zasad, wprost odpowiadając na pytanie, zawsze po wsze czasy odpowiadała i odpowiada jedno i to samo: świat jest bezmierny i niepojęty. Życie ludzkie jestto niezrozumiała część niezrozumiałej całości. Wykluczam tu znowu wszystkie ustępstwa pomiędzy teoretycznymi, a ścisłymi naukami, które stanowią cały balast półnauk, tak nazywanych prawnych, historycznych, politycznych. Do tych nauk także niewłaściwie wprowadza się pojęcia rozwoju, doskonalenia, z tą tylko różnicą, że tam — rozwój wszystkiego — a tu — życie ludzi. Niewłaściwość też sama: rozwój doskonalenie w nieskończoności, nie może mieć ani celu, ani kierunku, a w stosunku do mego pytania, nic nie odpowiada.

Tam zaś gdzie teoretyczna wiedza jest ścisłą, mianowicie w prawdziwej filozofji, nie w tej, którą Szopenhauer nazywa filozofją profesorską, służącą tylko do tego, aby rozdzielić wszystkie istniejące zjawiska według nowych filozoficznych rubryk i nazwać je nowymi imionami, — tam, gdzie filozof nie spuszcza z oka głównego pytania, odpowiedź jest zawsze

jedna i ta sama, — odpowiedź, którą dał Sokrates, Szopenhauer, Salomon, Budda.

„Zbliżymy się do prawdy o tyle tylko, o ile oddalimy się od życia”, — mówi Sokrates, gotując się na śmierć. — Dlaczego my, miłujący prawdę, dążymy do śmierci? — Dla tego, żeby wyswobodzić się z więzów cielesnych i wszystkiego złego, wynikającego z cielesnego życia. Jakże więc się nie cieszyć, gdy śmierć się ku nam zbliża?”

„Mędrzec całe życie szuka śmierci, a więc dlatego jej się nie lęka”.

A oto co mówi Szopenhauer:

„Poznawszy wewnętrzną istotę świata jako wolę i we wszystkich zjawiskach od nieświadomego dążenia ślepych sił natury do zupełnie uświadomionej działalności człowieka, uznawszy jedynie przedmiotowość tej woli, dojdziemy do tego wniosku, że wraz ze swobodnem odrzuceniem, unicestwieniem woli znikną i wszystkie te zjawiska, to ciągłe dążenie bez celu i odpoczynku na wszystkich stopniach przedmiotowości, w którym i przez które istnieje świat; zniknie różnorodność następujących form, znikną razem z formą wszy-

stkie jej przejawy ze swymi wspólnymi, formami, przestrzenią i czasem, a nareszcie ostatnią podstawową jej formą — sub-
jekt i obiekt. Niema woli, niema wyobra-
żenia, niema i świata. Przed nami, rozu-
mie się pozostanie tylko nicość. Ale to,
co sprzeciwia się temu przejściu do nico-
ści, jest to przecież tylko ta sama wola
istnienia (Wille zum Leben.), stanowiąca
tak nas samych, jak i nasz świat. Nasza
obawa wobec nicości, czyli to, że tak
chcemy żyć — oznacza tylko, że my sa-
mi nie jesteśmy niczem innym, jak tylko
tą chęcią życia, i nic nie znamy po za
niem. Dlatego też to co zostanie po zu-
pełnem unicestwieniu woli dla nas, któ-
rzy jesteśmy jeszcze pełni woli, jest rozu-
mie się nicość; ale i naodwrot dla tych,
w których się wola odwróciła i wyrzekła
się samej siebie, dla tych, ten nasz tak
realny świat, ze wszystkimi swymi słońca-
mi i mlecznymi drogami, jest nicością."

„Marność marności," — mówi Salo-
mon, — „marność marności — wszystko
marność". Cóż za korzyść dla człowieka
z całej jego pracy, która się mozoli pod
słońcem? Pokolenie przechodzi i pokole-

nie mija, a ziemia trwa wiecznie. Co było to i będzie; i co się działo to się będzie dziać; i niema nic nowego pod słońcem. Bywa coś o czym mówią: „patrz oto nowe”, ale to było już przed wiekami, przed nami. Niema pamięci dla tego co minęło ale i o tem co będzie, nie będzie pamięci u tych, którzy będą później. Ja, Ekklezjasta, byłem królem nad Izraelem w Jeruzolimie. I duszą całą starałem się zbadać i doświadczyć rozumem wszystko, co się dzieje pod niebem, tę ciężką robotę dał Bóg synom człowieka, aby się w niej wprawiali. Widziałem wszystko co zachodzi pod słońcem i oto wszystko marność i duchowa tęsknota... Mówilem sobie w duszy tak: oto wyniosłem się, nabyłem mądrości więcej od tych, którzy panowali przedemną nad Jeruzolimą i dusza moja poznała wiele mądrości i wiedzy. I duszą mą poświęciłem, aby poznać mądrość i poznać głupotę; poznałem, że i to — tęsknota duszy. Dlatego, że w wielkiej mądrości wiele smutku; i kto pomnaża wiedzę pomnaża boleść.

„Powiedziałem sobie w duszy: niech doświadczę radości i nacieszę się dobremi;

ale i to — marność. O śmiechu powiedziałem: głupstwo, — a o radości: cóż ona działa? Umyśliłem upajać winem ciało moje i podczas gdy sercem mojem rządził rozum, trzymać się i głupstwa, dopóki nie zobaczę, co jest dobrem dla synów człowieka, co powinni by robić pod niebem w nieliczne dni swego życia. Przedsiębrałem ważne prace, pobudowałem sobie domy, nasadziłem winnice. Urządziłem sobie ogrody i gaje, nasadziłem w nich wszelkich drzew owocowych; pokopałem cysterne, aby zraszać gaje, puszczające drzewa; nabyłem sług i służących, i domowników miałem; bydła miałem więcej, aniżeli wszyscy będący przedemną w Jerozolimie i mądrość moja przebywała zemną. Czegoby oczy moje zapragnęły, nie odmawiałem, nie broniłem sercu memu żadnego wesela. Oglądałem się na wszystkie dzieła rąk moich, i na mozoly, które poniosłem przy ich wykonaniu, i oto wszystko — marność i tęsknota ducha i niema z nich korzyści pod słońcem. I oglądałem się, żeby spojrzeć na mądrość i głupotę. Ale pojąłem, że jeden los czeka wszystkim. I pomyślałem w duszy: i mnie

spotka ten sam los co i głupca, — pocóż więc stałem się bardzo mądrym? I powiedziałem sobie w duszy, że i to—marność. Dlatego, że i mądrego nie będą pamiętać wiecznie, jak i głupiego; w następne dni wszystko będzie zapomniane i niestety, mądry, umiera narówni z głupcem! I znie-nawidziłem życie dlatego, że wstrętem napełniły mnie prace, które się robi pod słońcem, gdyż wszystko — marność i tęsknota duszy. I znie-nawidziłem całą moją pracę, nad którą się mozoliłem pod słońcem, dlatego, że muszę ją zostawić człowiekowi, który przyjdzie po mnie. Albowiem cóż będzie miał człowiek z całej swej pracy i troski serca swego, że pracuje pod słońcem? Dlatego, że wszystkie dni jego — smutek, a jego prace—niepokój; nawet i nocą serce jego nie zna spokoju. I to marność. Nie w mocy ludzkiej i to szczęście, żeby jeść i pić i duszę swą osładzać po pracy.

„Wszem i wszemu jedno: jeden los sprawiedliwemu i nieuczciwemu, dobremu i złemu, czystemu i nieczystemu, składającym ofiarę i nieskładającym ofiary, jak cnotliwemu tak i grzesznikowi, przysię-

gającemu i obawiającemu się przysięgi. To właśnie jest złe we wszystkim co się dzieje pod słońcem, że jeden los spotyka wszystkich, i serce synów ludzkich przepełnione złem i nierozumem w sercu ich, w życiu ich, a potem umierają. Kto jest między żywymi, ten ma jeszcze nadzieję gdyż i psu żywemu lepiej, aniżeli martwemu lwu. Żywi wiedzą że umrą, a umarli nie wiedzą i już nie mają wdzięczności, dlatego, że pamięć ich oddana zapomnieniu; i miłość ich i nienawiść ich i zazdrość już zniknęły i nic pod słońcem nie ma już dla nich szacunku.“

Tak mówi Salomon, albo ten, który pisał te słowa.

A oto co mówi indyjska mądrość:

Sakia-Muni, młody szczęśliwy król wicz, przed którym ukrywano choroby, starość, śmierć, jedzie na spacer i spotyka bezzębnego, śliniącego się staruszką. Król wicz, przed którym dotąd ukrywano starość, dziwi się i wypytuje woźnicę, co to takiego i dlaczego ten człowiek popadł w tak nędzny, wstrętny i obrzydliwy stan. I kiedy się dowiaduje, że to los wspólny wszystkich ludzi, że i on, młody król wicz,

nie uniknie tegoż samego, nie może już dalej jechać na spacer, i każe zawrócić aby się zastanović. I zamyka się sam i myśli, i widać, wymyślił sobie jakąś pociechę, dlatego, że znowu wesoly i szczęśliwy jedzie na spacer. Ale tym razem spotyka chorego. Widzi wyczerpanego, zsiniałego człowieka, z zamglonemi oczami. Królewicz, przed którym ukrywano choroby, zatrzymuje się i pyta, co to takiego. I kiedy się dowiadyje, że to choroba, której podlegają wszyscy ludzie, i że on sam wesoly i szczęśliwy królewicz, jutro może także zachorować, znowu nie może się cieszyć, każe zawrócić, i znowu szuka uspokojenia i prawdopodobnie znajduje je, dlatego, że poraz trzeci wyjeżdża na spacer; ale za trzecim razem spotyka jeszcze nowy widok: widzi, że coś niosą. „Co to?” — „Umarły” „Co znaczy umarły?” — pyta królewicz. Mówią mu, że umrzeć, to znaczy stać się tem, czem stał się ten człowiek. — Królewicz podchodzi do umarłego, odkrywa i patrzy na niego. — „Cóż będzie z nim dalej?” pyta królewicz. Mówią mu, że go zakopią w ziemi. — „Po co?” — Dlatego, że on już napewno nie

będzie nigdy żywym, a tylko będzie z niego smród i robaki. — „I to los wszystkich ludzi? I zemną toż samo będzie? Mnie zakopią i odemnie będzie smród i mnie zjedzą robaki? — Tak. — „Wracać! Nie jadę na spacer i nigdy już nie wyjadę.” I Sakia-Muni nie mógł znaleźć pociechy w życiu i doszedł do wniosku, że życie — to największe zło, i wszystkich sił duszy użył na to, żeby się od niego oswobodzić i oswobodzić innych. I oswobodzić tak, żeby i po śmierci życie nie wznawiało się w jakikolwiek sposób, żeby życie zniszczyć aż do korzenia. To mówi cała indyjska mądrość.

Oto proste odpowiedzi, które daje mądrość ludzka, kiedy odpowiada wprost na pytania życiowe.

„Życie ciała jest złem i kłamstwem. I dlatego unicestwienie tego życia jest szczęściem i dlatego powinniśmy go pragnąć”, mówi Sokrates.

„Życie jest tem, czego być nie powinno — złem, i przejście w nicłość jest jedynem szczęściem życia”, mówi Szopenhauer

„Wszystko na świecie — i głupota i mądrość i bogactwo i nędza i wesele i smutek — wszystko marność i głupstwo. Człowiek umrze i nic nie pozostanie. I oto jest głupie”, mówi Salomon.

„Żyć ze świadomością nieuniknionych cierpień osłabienia, starości i śmierci nie można,—trzeba się oswobodzić od życia od wszelkiej możliwości życia”, mówi Budda.

I oto co wypowiedziały te silne umysły, mówiły, myślały i czuły miliony milionów ludzi podobnych do nich. I myślę i czuję i ja.

Tak, że błąkanie moje wśród nauk nie tylko nie wyprowadziło mnie z rozpacz, ale tylko ją spotęgowało. Jedna nauka nie odpowiedziała na życiowe pytania, druga nauka odpowiedziała wprost, potwierdzając mą rozpacz i wykazując, że to do czego ja doszedłem, nie jest owocem mego błędu, chorobliwego stanu umysłu, przeciwnie, utwierdziło mnie w tem, że to com myślał jest prawdą i że się zeszedłem z wywodami najsilniejszych ludzkich umysłów.

Oszukiwać siebie niema co. Wszystko marność. Szczęśliwy kto się nie urodził, śmierć lepsza od życia; trzeba wybawić się od niego.

VII.

Nie znalazłszy wyjaśnienia w nauce, zacząłem go szukać w życiu, mając nadzieję znaleźć go w ludziach, którzy mnie otaczali, i zacząłem obserwować ludzi — takich jak i ja, jak żyją dookoła mnie i jak się odnoszą do tego pytania, które mnie doprowadziło do rozpacz.

I oto co znalazłem u ludzi, znajdujących się w tem samym położeniu co i ja co do wykształcenia i sposobu życia.

Doszedłem do wniosku, że dla ludzi mojego koła są cztery sposoby wyjścia ze straszego położenia, w którym się znajdujemy.

Pierwsze wyjście jest wyjściem nie świadomości. Polega ono na tem, żeby nie wiedzieć, nie rozumieć tego, że życie jest złem i bezmyślnem.

Ludzie tego rodzaju — po większej części kobiety, albo bardzo młodzi, albo

bardzo tępi ludzie—jeszcze nie zrozumieli tego pytania życiowego, które pojął Szopenhauer, Salomon, Budda. Oni nie widzą ani smoka, który ich oczekuje, ani myszy toczących krzewy, których oni się trzymają i liżą krople miodu. Ale oni liżą owe krople miodu tylko do czasu: niech cośkolwiekbydź zwróci ich uwagę na smoka i myszy — koniec ich lizania. Od nich nie mogą się nauczyć niczego — nie można przestać wiedzieć o tem, o czem się wie.

Drugie wyjście — to wyjście epikureizmu. Polega ono na tem, żeby znając beznadziejność życia, korzystać tymczasowo z tych rozkoszy, które ono daje, nie zważać na smoka, ani na myszy, a lizać miód, zwłaszcza jeśli się go dużo zebrało. Salomon wyraża to w ten sposób:

„I pochwalilem wesele, dlatego, że niema nic lepszego dla człowieka pod słońcem jak jeść, pić i weselić się; to mu towarzyszy w dniach trudu jego, które mu Bóg przeznaczył pod słońcem. I tak idź, jedz z weselem chleb twój i pij z radośnem sercem wino twoje... Ciesz się życiem z kobietą kochaną, we wszystkie

dni kłopotliwego życia, dlatego, że taka dola twoja w życiu i trudach twoich, którymi obarczony jesteś pod słońcem... Wszystko co w stanie jest ręka twa zrobić, rób, dlatego, że w mogile, dokąd pójdziesz, niema ani roboty, ani rozmyślań, ani wiedzy, ani mądrości”.

Tak podrzymuje w sobie (możliwość życia większa część ludzi naszej sfery. Warunki, w których się znajdują sprawiają to, że doznają więcej dobrego, aniżeli złego, a moralne stępienie daje im możliwość zapomnieć, że ich położenie jest wypadkowe, że nie wszyscy mogą mieć jak Salomon 1000 kobiet i pałaców, że na każdego człowieka z tysiącem żon wypada 1000 ludzi bez żon i na każdy pałac 1000 ludzi, którzy go budują w pocie czoła i że ten przypadek, który dziś ze mnie zrobił Salomona, jutro może zrobić ze mnie niewolnika Salomona. Stępienie wyobraźni tych ludzi daje im możliwość zapomnienia o tem co nie dawało spokoju Buddzie — o nieuniknionych chorobach, starości i śmierci, która nie dziś — to jutro unicestwi te wszystkie uciechy.

Tak myśli i czuje większość ludzi na-

szego czasu i naszej sfery. To też nie. którzy z tych ludzi zapewniają, że tępość ich myśli i wyobraźni jest filozofją; którą oni nazywają pozytywną, nie wyróżniają w moim pojęciu ich z rzędu tych, którzy, żeby nie widzieć pytania, liżą miód. I tych ludzi nie mogę naśladować: nie mając ich tępej wyobraźni nie mogę jej sztucznie w sobie wzbudzić, jak nie może żaden żywy człowiek oderwać oczu od masy i smoka, jeśli je raz tylko zobaczył.

Trzecie wyjście jest wyjściem siły i energii. Polega ono na tem, żeby zrozumiawszy, że życie jest złe i bezmyślne, unicestwić je. Tak postępują wyjątkowi, silni i konsekwentni ludzie. Zrozumiawszy całą głupotę żartu, i zrozumiawszy, że szczęście umarłych wyższe jest od szczęścia żywych i że najlepiej jest nie być, robię tak i kończę odrazu głupi żart; toć są sposoby: pętla na szyję, woda, nóż, który przebija serce, pociągi na żelaznych drogach. I ludzi z naszej sfery, którzy tak postępują, coraz jest więcej i więcej. I tak robią ludzie po większej części w najlepszym okresie życia, kiedy dusza ich jest w samym rozkwicie. Widziałem, że to

najzaszczytniejszy sposób wyjścia z tego położenia i chciałem tak postąpić.

Czwarty sposób wyjścia jest wyjście słabości. Polega ono na tem, żeby rozumiejąc zło i bezmyślność życia, w dalszym ciągu wlec je, wiedząc z góry, że z tego nic wyjść nie może. Ludzie tego pokroju wiedzą, że śmierć lepsza jest od życia, ale nie mając sił aby postąpić rozumnie, prędzej skończyć oszustwo i zabić się, czegoś jeszcze jakgdyby oczekują. Jestto wyjście słabych charakterów, gdyż jeśli znam lepsze i ono jest w mojej władzy, dlaczego nie wybrać lepszego?... Ja należałem do ludzi tego pokroju.

W ten sposób ludzie podobni do mnie czterema drogami ratują się z okropnych sprzeczności. Jakkolwiek wyteżałem umysł, prócz tych czterech dróg nie widziałem jeszcze żadnej innej. Jedno wyjście nie rozumieć, że życie jest bezmyślne, marne i złe i że lepiej nie żyć. Nie mogłem tego nie wiedzieć i raz uznawszy, nie mogłem zamykać oczu. Drugie wyjście — korzystać z życia takiego jakim jest, nie myśląc o przyszłości. Tego nie mogłem zrobić. Jak Sakkia-Muni

nie mogłem jechać na polowanie, wiedząc że jest starość, cierpienia i śmierć. Zbyt żywą miałem wyobraźnię. Prócz tego nie mogłem cieszyć się z chwilowego przypadku, wnoszącego przemijające szczęście w moje życie. Trzecie wyjście: zrozumiawszy, że życie jest złe i głupie, zabić się. Zrozumiałem to, ale jednak nie zabiłem się. Czwarte wyjście: żyć w położeniu Salomona, Szopenhauera—wiedzieć, że życie jest głupim żartem, a pomimo to żyć, myć się, ubierać, jeść obiad i nawet książki pisać. Było to dla mnie wstrętne, męczące, ale jednak trwałem w tem położeniu.

Było ono takie: ja, mój rozum — uznałem, że życie jest nierozumne. Jeśli niema wyższej mądrości (a niema jej i nic jej nie może dowieść), to rozum mój jest twórcą mego życia. Gdyby go nie było, nie byłoby dla mnie życia. Jakże więc ten rozum neguje życie, kiedy sam jest jego twórcą? Albo z drugiej strony: jeśli by nie było życia, nie byłoby mego rozumu, więc rozum jest synem życia. Życie jest wszystkim. Rozum jest płodem życia i rozum ten przeczy życiu. Czułem, że jest tu coś nie w porządku.

Życie jest złem i bezmyślnem niewątpliwie, — mówiłem ja sobie. — Ale ja żyłem, żyję jeszcze i żyła, żyje cała ludzkość. Jakże więc? Pocóż ona żyje, jeśli może nie żyć? Czyżbym ja jeden z Szopenhauerem był tak mądrym, że pojąłem bezmyślność i zło życia?

Wniosek o marności życia, nie jest tak trudnym, i doszli do niego dawno nawet najprostszy ludzie, a żyli jednak i żyją. I cóż, oni wszyscy żyją i nie myśleli nawet wątpić o życiu?

Wiedza moja utwierdzona mądrością mędrców, wskazała mi, że wszystko na świecie — świat organiczny i nieorganiczny — wszystko niezwykle mądrze zbudowane, tylko moje położenie jest głupie. A ci głupcy — ogromne masy prostych ludzi — nic nie wiedzą o tem jak wszystkie organizmy zbudowane są na świecie a żyją i zdaje im się, że życie ich jest bardzo mądrze urządzone!

I przychodziło mi do głowy: a cóż, jeśli ja czegoś jeszcze nie wiem? Przecież tak samo postępuje nieświadomość. Nieświadomość mówi przecież zawsze to samo. Kiedy nie wie czegoś, mówi, że głu-

piem jest to czego nie wie. W rzeczy samej wynika z tego, że jest ludzkość cała, która żyła i żyje, jakby rozumiejąc sens swego życia, gdyż nie rozumiejąc go, nie mogłaby żyć, a ja mówię, że całe to życie jest nonsensem i ja nie mogę żyć.

Nikt nam nie przeszkadza unicestwić życie samobójstwem. Ale wtedy zabij się i — przestaniesz rozumować. Nie podoba ci się życie — zabij się. A żyjesz i nie możesz zrozumieć sensu życia, skróć je, a nie kręć się w tem życiu, rozprowadając i rozpisując, że nie pojmujesz sensu życia. Wszedłeś w wesołe towarzystwo; wszystkim bardzo jest dobrze, wszyscy wiedzą co robią, a tobie nudno i nieprzyjemnie—odejść.

Przecież naprawdę, czemże jesteśmy my przekonani o konieczności samobójstwa i nie decydujący się na spełnienie go, jak nie najslabszymi, niekonsekwentnymi i wprost mówiąc głupimi ludźmi, obnoszącymi swą głupotę wszędzie?

Przecież nasza mądrość, jakkolwiek bardzo pewna, nie dała nam świadomość sensu naszego życia. Cała ludzkość, ro-

biąca życie, miliony — nie wątpię o celu życia.

W rzeczy samej, oddawna, jak tylko istniało życie, o którym cośkolwiek wiem, żyli ludzie, znając to rozumowanie o marności życia, które mnie ukazało jego bezmyślność, i pomimo to żyli, nadając mu jakiś sens.

Od chwili, jak się zaczęło życie ludzkie, miało ono dla nich jakiś sens i oni wiedli to życie, które doszło do mnie. Wszystko co jest we mnie i dokoła mnie, wszystko—cielesne i duchowe, wszystko—jest owocem ich poznania życia. Te same narzędzia myśli, zapomocą których osądzam i potępiam to życie — wszystko to zrobione przez nich, a nie przezemnie. Ja sam się urodziłem, wychowałem, wyrosłem, dzięki im. Oni wykuli żelazo, nauczyli rąbać las, oswoiili krowy, konie, nauczyli siał, nauczyli żyć wspólnie, urządzili nasze życie, oni nauczyli mnie myśleć i mówić. I ja — ich dzieło, przez nich wykarmiony, napojony, nauczony ich myślami i słowami — dowiodłem im, że oni są bezmyślni! Tutaj jest coś nie w porządku—mówiłem sobie. — Musiałem się

omylić. Ale gdzie była omyłka nie mogłem znaleźć.

VIII.

Dziś jestem w stanie wypowiedzieć mniej lub więcej jasno wszystkie te wątpliwości, wówczas nie mógłbym ich wypowiedzieć.

Wtedy czułem tylko, że jakkolwiek nieuniknione były moje wnioski potwierdzone przez największych myślicieli, było w nich coś nie w porządku. W samym rozumowaniu, czy w postawieniu pytania, nie wiedziałem — a czułem tylko, że były one zupełnie przekonujące ale niezupełne.

Wszystkie wnioski nie mogły mnie tak dalece przekonać, abym zrobił to, co wynikało z mego rozumowania, t. j. żebym się zabił. I powiedziałbym nieprawdę, jeślibym powiedział, że doszedłem na mocy rozumowania, do czego doszedłem i nie zabiłem się. Rozum pracował, ale pracowało jeszcze i coś innego, czego nie mogę nazwać inaczej jak świadomością życia. Pracowała ta siła, która zwróciła moją

uwagę na to, a nie na tamto i ta siła wy-
prowadziła mnie z mojego rozpaczliwego
położenia i zupełnie inaczej pokierowała
mój rozum. Siła ta zwróciła mą uwagę
na to, że ja z setkami podobnych mi lu-
dzi nie jestem ludzkością, że życia ludz-
kiego ja nie znam jeszcze.

Rozglądając się w ciasnych kółkach
moich rówieśników, widziałem tylko ludzi
nie rozumiejących zagadnienia życiowego,
rozumiejących i zagłuszających zagadnie-
nia życiowe pijaństwem życia, rozumieją-
cych i skracających życie, i rozumiejących
ale ciągnących życie wskutek słabości
charakteru. I nie widziałem innych ludzi.
Zdawało mi się, że to ciasne kółko uczo-
nych, bogatych i żyjących w dostatku lu-
dzi, do którego należałem stanowi całą
ludzkość, a te miljarady żyjących żywych,
to jakieś bydło, a nie ludzie.

Jakkolwiek dziwnem, i niepojętem
zdaje mi się teraz to, jak mogłem, rozu-
mując o życiu, niedopatrzyć otaczającego
mnie ze wszęch stron życia ludzkości, jak
mogłem do tego stopnia błędzić, żeby
myśleć że życie moje, Salomonów i Sz-
openhauerów jest prawdziwem, normalnem

życiem, a życie miliardów nie jest warte uwagi, — jakkolwiek dziwnem wydaje mi się to obecnie, widzę że tak było. Na manowcach, na które zaprowadził mnie dumny mój rozum, zdawało mi się niewątpliwem, że my z Salomonem i Szopenhauerem postawiliśmy pytanie tak prawdziwie i pewnie, że nic innego być nie mogło — tak niewątpliwem wydawało się, że te wszystkie miljardy należą do tych, którzy jeszcze nie doszli do zrozumienia całej głębi pytania, że ja szukałem celu życia i ani razu nie pomyślałem: „jakiś sens nadają i nadawały życiu miljardy ludzi żyjących i tych którzy żyli na świecie?”

Długo żyłem w tem obłąkaniu zwykłem nam, ludziom liberalnym i uczonym. Ale czy to dzięki mojej jakiejś szczególnej fizycznej miłości do pracującego ludu, która sprawiła, że go pojął i zauważył, że nie jest on taki głupi jak nam się wydaje, czy też dzięki szczerości mego przekonania, że nic innego nie mogę pojąć, jak to, że najlepszem co mogę zrobić — to powiesić się — czułem, że jeśli chcę żyć i rozumieć sens, cel życia, to szukać tego sensu nie powinienem u tych, którzy

stracili sens życia i chcą się zabić, ale u tych miliardów żywych ludzi, którzy tworzą życie i na sobie dźwigają ciężar swego i naszego życia. I zacząłem się przyglądać ogromnym masom żyjących i umarłych prostych, nieuczonych i nie bogatych ludzi i zobaczyłem zupełnie coś innego. Zauważyłem, że te miljarde ludzi, wszyscy za małymi wyjątkami, nie dadzą się podciągnąć pod żadną z moich rubryk, że uważać ich za nie pojmujących pytania nie mogę, gdyż oni sami go stawiają i z niezwykłą jasnością odpowiadają nań. Uważać ich za epikurejczyków także nie mogę dlatego, że życie ich składa się raczej z cierpień i poświęceń, aniżeli z rozkoszy; nie mogę ich uważać tem mniej za głupców, ciągnących bezmyślne życie, gdyż dla każdego akt życia i śmierci ma swoje wyjaśnienie. Samobójstwo uważają za wielkie zło. Okazało się, że ludzkość cała ma jakąś nieznaną przezemnie i lekceważoną naukę o celu życia. Wyszło to, że rozumna wiedza nie daje rozwiązania życiowej zagadki, unicestwia życie; cel zaś przypisywany życiu przez miliardy lu-

dzi, przez ludzkość całą, opiera się na jakiejś pogardzanej, fałszywej nauce.

Prawdziwa wiedza w osobach uczonych i mądrych odrzuca celowość życia, a olbrzymie masy ludzi, ludzkość całą, — widzą ten cel w fałszywej nauce. A ta, fałszywa wiedza — to religja, ta sama, której nie mogłem nie odrzucić. To Bóg jeden i Trójca, stworzenie w 6 dni, diabły i anioły i wszystko to co muszę odrzucić, dopóki jestem przy zdrowych zmysłach.

Położenie moje było straszne. Wiedziałem, że nic nie znajdę na drodze wiedzy prócz negacji życia, a tam w religji — nic prócz negacji rozumu, co jest jeszcze mniej możliwem niż negacja życia. Według wiedzy życie jest złem i ludzie wiedzą to, — od ludzi zależy nie żyć, a oni żyli i żyją i ja sam żyłem, chociaż wiedziałem dawno, że życie jest złe i bezmyślne. Aby pojąć sens życia według religji, musiałbym się wyrzec rozumu, tego samego, dla którego potrzebny jest sens życia.

IX.

Wpadłem w sprzeczność, z której były tylko dwa wyjścia: albo to co nazywałem rozumnym, nie było tak rozumnym jak sądziłem, albo to co mi się wydawało głupiem, nie było tak głupie, jak myślałem. I zacząłem sprawdzać bieg rozumowania mojej mądrej wiedzy.

Sprawdzając bieg rozumowania, znalazłem go zupełnie prawidłowym. Wniosek, że życie jest niczem, był nieunikniony; ale spostrzegłem omyłkę. Omyłka polegała na tem, że myślałem nieodpowiednio do postawionego pytania. Pytanie było takie; poco mam żyć t. j. co zostanie prawdziwego, trwałego z mojego urojonego, nietrwałego życia, — jaki cel ma moje ograniczone istnienie w tym bezgranicznym świecie? I aby odpowiedzieć na to pytanie studjowałem życie.

Rozwiązanie wszystkich możliwych pytań życiowych, rozumie się, nie mogło mnie zadowolnić, dlatego, że moje pytanie, jakkolwiek napozór proste, zawiera w sobie żądanie objaśnienia ograniczonego przez bezgraniczne i odwrotnie.

Pytanie: jakim jest pozczasowe,

pozaprzyczynne i pozaprzestrzenne znaczenie mego życia? — A odpowiedziałem na pytanie: jakim jest czasowe, przyczynne i przestrzenne znaczenie mego życia?... Wynik był ten, że po długiej usilnej myślowej pracy odpowiedziałem: żadne.

W rozumowaniach moich ciągle porównywałem, i nie mogło zresztą być inaczej, skończone do skończonego i nieskończone z nieskończonym i dlatego wniosek był taki, jakim być musiał: siła jest to siła, materja jest materja, wola jest wola, nieskończoność jest nieskończoność, nic jest nic — i więcej nic innego nie mogłem wywnioskować.

Było coś podobnego do tego co bywa w matematyce, kiedy sądząc, że rozwiązujesz równanie, rozwiązujesz tożsamość. Rozumowanie jest prawidłowe, ale w rezultacie otrzymujesz odpowiedź $a=a$ albo $x=x$, albo $o=o$. To samo stało się z mojem rozumowaniem o przeznaczeniu mego życia. Odpowiedzi dawane przez całą wiedzę na to pytanie — były tą tożsamością.

I w samej rzeczy, surowa, rozumująca wiedza, która jak to zrobił Dekart, zaczyna od zupełnego zwątpienia we wszystko, odrzuca każdą na wiarę przyjętą naukę, buduje wszystko nanowo na podstawach rozumu i doświadczenia, — i nie może dać innej odpowiedzi na życiowe pytanie, jak ta którą już dostałem — odpowiedź nieokreśloną. Mnie się tylko z początku wydało, że znajomość rzeczy jest ścisłą odpowiedzią—odpowiedzią Szopenhauera: życie nie ma sensu, jest złem; ale rozpatrzywszy tę rzecz zrozumiałem, że odpowiedź nie jest ścisła, że moje uczucie tak ją wyraziło. Odpowiedzią ściśle wyrażoną tak u braminów, jak u Salomona i Szopenhauera jest odpowiedź nieokreślona czyli tożsamość $o = o$, życie jest nic. Tak, że filozofja nic nie odrzuca, a tylko odpowiada, że pytanie jest nieokreślone. Zrozumiawszy, pojąłem, że nie można było szukać w nauce odpowiedzi na moje pytanie, że odpowiedź dana przez naukę, jest tylko wskazówką, odpowiedź zaś ścisłą można tylko otrzymać przy innym postawieniu pytania, t. j. wówczas, kiedy w rozumowaniu będzie wprowadzo-

ne pytanie o stosunku skończonego do nieskończoności. Zrozumiałem, że jakkolwiek odpowiedzi dawane przez religję są nierozumne i dziwaczne, mają jednak tę wyższość, że wprowadzają do każdej odpowiedzi stosunek skończonego do nieskończoności, bez którego odpowiedzi być nie może.

Jakkolwiek postawię pytanie: jak mam żyć—odpowiedź: podług prawa boskiego. Co wyniknie z obecnego mego życia? — Wieczne męki albo wieczne szczęście. Jaki cel nieunicestwiony przez śmierć? — Połączenie z nieskończonym Bogiem, raj.

Tak, że prócz rozumnej nauki, która wprzód wydała mi się jedyną, byłem zmuszony uznać to, że cała żyjąca ludzkość ma jeszcze jakąś nierozumną naukę — wiarę, która jej daje możliwość życia.

Cały nierosądek wiary zostawał dla mnie tem samym co pierwej, ale nie mogłem nie uznać tego, że ona daje człowiekowi odpowiedzi na życiowe pytania, a dlatego daje mu możliwość życia.

Nauka rozumowana doprowadziła mnie do świadomości tego, że życie jest bezmyślnem — życie moje zatrzymało się

i chciałem się unicestwić. Obejrzałem się na ludzi i na całą ludzkość, zobaczyłem że ludzie żyją i twierdzą, że znają cel życia. Obejrzałem się na siebie, żyłem dopóki znałem cel życia. Jak innym ludziom tak i mnie cel życia i możliwość życia dawała wiara.

Obejrzawszy się dalej na ludzi innych krajów, na współczesnych mi i minionie pokolenia, zobaczyłem jedno i to samo. Gdzie tylko życie, tam wiara od tam, jak ludzkość istnieje, daje możliwość życia, a główne rysy wiary są wszędzie i zawsze te same.

Jakiegokolwiek i komukolwiek daje odpowiedź, jakąkolwiek byłaby wiara, każda odpowiedź wiary nadaje ograniczonemu istnieniu człowieka cel nieskończoności.— cel nieunicestwiany przez cierpienie i śmierć. A więc — tylko w religji można znaleźć cel i możliwość życia. Cóż to więc jest ta wiara? I zrozumiałem, że wiara nie jest tylko dowiedzeniem rzeczy niewidzialnych i t. d., ale jest objawieniem (jest to spis jednej tylko z cech wiary), nie jest stosunkiem człowieka do Boga (trzeba określić wiarę, a potem Boga, a

nie przez Boga określać wiarę), jest nie-tylko zgodą na to co powiedziano człowiekowi jak najczęściej pojmowaną bywa wiara, — wiara jest świadomością celu ludzkiego życia, wskutek czego człowiek nie unicestwia swego istnienia, ale żyje. Wiara jest siłą życia. Jeśli człowiek żyje to musi w cośkolwiek wierzyć. Gdyby przestał wierzyć, że dla czegośkolwiek trzeba żyć, toby nie żył. Jeśli nie widzi i nie rozumie uludy chwili, wierzy w tę chwilę; jeśli rozumie uludę chwili, musi wierzyć w nieskończoność. Bez wiary nie można żyć.

Przypomniałem sobie cały przebieg swojej duchowej roboty i przestraszyłem się. Teraz widziałem jasno, że dla tego, żeby człowiek mógł żyć, musi nie widzieć nieskończoności, albo mieć takie objaśnienie celu życia, wskutek którego chwilowo równałoby się nieskończonemu. Takie objaśnienie miałem, ale było mi ono niepotrzebne dopóki wierzyłem w chwilę i zacząłem je sprawdzać rozumem. I przed światłem rozumu całe poprzednie objaśnienie rozsypało się; ale przyszedł czas kiedy przestałem wierzyć w chwilę. I wów-

czas zacząłem na podstawie rozumowej budować z tego co wiedziałem takie objaśnienie, któreby nadało cel życiu: ale nic nie zbudowałem. Wraz z najtęższymi umysłami ludzkości doszedłem do przekonania, że $o = o$; i zdziwiłem się, że otrzymałem takie rozwiązanie, a przecież nic innego nie mogłem otrzymać.

Cóżem robił, kiedy szukałem odpowiedzi w naukach ścisłych? — Chciałem się dowiedzieć poco żyję i dlatego studjowałem wszystko na zewnątrz siebie. Rozumie się, że mogłem się dowiedzieć wiele, ale nic z tego co mi było potrzeba.

Cóżem robił kiedy szukałem odpowiedzi w naukach filozoficznych? Studjowałem myśli tych istot, które się znajdowały w tem samym położeniu co i ja, które nie miały odpowiedzi na pytanie: poco ja żyję. Rozumie się, że nie mogłem dowiedzieć się niczego innego, jał to co sam wiedziałem, że nic nie można wiedzieć.

Czemże ja jestem? — Częścią nieskończoności. Przecież już w tych dwóch słowach leży całe zagadnienie. Czyż to pytanie dopiero od wczoraj postawiła

sobie ludzkość? I czyż nikt przedemną nie stawiał sobie tego pytania, — pytania tak prostego, które samo się narzuca każdemu rozumnemu dziecku?

Przecież to pytanie było postawione od czasu, jak ludzie istnieją i od czasu jak ludzie istnieją, rozumie się, że dla rozwiązania tego pytania jednakowo niewystarczającym jest porównanie chwilowego z chwilowem i od czasu jak ludzie istnieją, znaleziono i sformułowano stosunek chwilowego do nieskończoności. Wszystkie te pojęcia, w których porównywa się chwilowe do nieskończonego i otrzymuje się cel życia, pojęcia Boga, swobody, dobra, podajemy logicznemu rozumowaniu.

I te pojęcia nie wytrzymują krytyki rozumu. Jeśliby nie było tak strasznych, byłoby to śmiesznym, z jaką dumą i zadowoleniem my, jak dzieci, rozbieramy zegarek, wyjmujemy sprężynę, robimy z niej zabawkę i później się dziwimy, że zegar bić przestaje.

Potrzebne i cenne jest pogodzenie sprzeczności chwili i nieskończoności i odpowiedź na pytania życiowe taka, która

umożliwiła życie. I to jedyne rozwiązanie które znajdujemy wszędzie, zawsze i u wszystkich narodów, — rozwiązanie datujące od czasu, w którym ginie dla nas ślad życia ludzkiego, o tyle trudne, że my sami nic podobnego zrobić nie możemy, to jedyne rozwiązanie najważniejszej życiowej kwestji lekkomyślnie podkopujemy dlatego, aby postawić znowu pytanie, które istnieje obecnie dla każdego i na które niema odpowiedzi.

Pojęcie nieskończonego boga, boskości duszy, związku dzieł ludzkich z bogiem, jedności, istoty duszy, ludzkiego pojęcia dobrego i złego — są pojęciami wyrobionemi w ukrytej nieskończoności ludzkiej myśli. są temi pojęciami, bez których nie byłoby życia i mnie samego, a ja odrzuciwszy tę robotę całej ludzkości, chcę wszystko przerobić nanowo i po swojemu.

Wówczas nie myślałem tak, ale zaczątki tych myśli już były we mnie. Rozumiałem, 1) że położenie Szopenhauera, Salomona i moje bez względu na całą naszą mądrość, jest głupie: rozumiemy że życie jest złem, a pomimo to żyjemy. To

jest wprost głupie, dlatego, że jeżeli życie jest głupie, a ja tak lubię wszystko, co rozumne — to powinienem życie skrócić, 2) Pojąłem, że wszystkie nasze rozmowy obracają się w zaczarowanym kole. Jakkolwiek dobrze rozumiemy, nie możemy otrzymać odpowiedzi na pytanie i zawsze będzie $0 = 0$, a więc z tego powodu widocznie droga nasza jest mylną, 3) Zacząłem rozumieć, że w odpowiedziach dawanych przez religję kryje się najgłębsza mądrość ludzkości, że nie miałem prawa odrzucać ich na podstawie rozumu i że są to jedyne odpowiedzi na życiowe pytania.

X.

Zrozumiałem to wszystko, ale z tego powodu nie było mi lżej. Gotów byłem przyjąć każdą religję, któraby tylko nie stała wprost w sprzeczności z rozumem. Studjowałem buddyzm i mahometanizm z książek i chrystjanizm z książek i żywych ludzi, którzy mnie otaczali.

Zwróciłem się naturalnie do ludzi wierzących mojej sfery, do ludzi uczonych

prawosławnych duchowych, do mnichów, starców, do młodych prawosławnych duchownych i nawet do t. zw. neo-chrześcjan, wyznających zbawienie przez wiarę w odkupienie. Chwytałem się tych wierzących i dopytywałem ich, jak wierzą i w czym upatrują cel życia.

Bez względu na to, że robiłem wszystkie możliwe ustępstwa, unikałem wszelkich sporów, nie mogłem adoptować wiary tych ludzi, — widziałem że to co oni podawali za wiarę nie było wyjaśnieniem, a zaśmieniem życiowego celu, i że oni sami umacniali swą wiarę nie dlatego, aby odpowiedzieć na to pytanie życiowe, które doprowadziło mnie do wiary, a dla jakichś innych, nieznanych mi celów. Pamiętam męczące uczucie strachu przed powrotem do poprzedniej rozpacz po nadziei, której doznawałem wiele razy w stosunkach z tymi ludźmi.

Im bardziej, szczegółowiej wykładali mi swe wyznanie wiary, tem jaśniej widziałem ich błędy i traciłem nadzieję, że znajdę w ich wierze wyjaśnienie celu życia.

Odpychało mnie od nich nietyle to, że w swym wyznaniu wiary dołączyli do

zawsze mi bliskich prawd chrześcijańskich jeszcze dużo niepotrzebnych i nierozumnych rzeczy, ile to, że życie tych ludzi było tak jak moje, z tą tylko różnicą, że nie odpowiadało tym zasadom, które oni wykładali w swem wyznaniu wiary. Czułem wyraźnie, że oszukują samych siebie i że i oni, tak jak i ja nie mają innego celu w życiu, prócz żeby żyć póki stanie życia i brać co się da. Wiedziałem, że jeśliby mieli ten cel, wobec którego niknie obawa cierpień, poświęceń i śmierci, to by się ich nie bali. A oni, ci wierzący naszej sfery, tak samo jak i ja, żyli w dostatku i zbytku, starali się powiększyć swój majątek, albo go zachować, bali się poświęceń, cierpień, śmierci i tak samo jak ja i wszyscy niewierzący żyli, zadawalniając swą lubieżność, żyli tak samo źle, jeśli nie gorzej aniżeli niewierzący.

Żadne rozumowanie nie mogło mnie przekonać o szczerości ich wiary. Tylko takie czyny, któreby wykazywały, że mają cel życia taki, wobec którego straszne dla mnie nędza, choroba, śmierć — nie są dla nich straszne, tylko to jedno mogłoby mnie przekonać. A takich czynów nie wi-

działem. Przeciwnie widziałem takie czyny u niewierzących ludzi naszego koła, ale nigdy u tak nazwanych wierzących.

I pojąłem, że wiara tych ludzi — nie jest tą wiarą, której szukałem, że ich wiara nie jest wogóle wiarą, a tylko jedną z epikurejskich rozkoszy życia. Zrozumiałem, że ta wiara przydać się może, chociaż nie dla pociechy, ale dla rozrywki żalującemu za grzechy Salomonowi na śmiertelnem łożu, ale nie może się przydać ogromnej większości ludzi, którzy są powołani nie do rozrywki korzystania z cudzej pracy, a do tworzenia życia. Dlatego, ażeby cała ludzkość mogła żyć, i przedłużać życie, te miljarady, muszą mieć inne, prawdziwe wyznanie wiary. Przecież nie to, przekonało mnie o istnieniu wiary, żeśmy z Salomonem i Szopenhauerem nie zabili się, ale to, że miljarady ludzi żyło i żyją i że nas z Salomonami wyniosły na falach swego życia.

I zbliżyłem się do wierzących biednych, prostych, nieuczonych ludzi, do pielgrzymów, mnichów, rokoszników, chłopów: Wiara ludu była tak samo chrześcijańska, jak i wiara niby — wierzących

z naszego koła. Z prawdami chrześcijańskimi było też połączone wiele zabobonów, ale różnica polegała na tem, że zabobony wierzących ludzi naszej sfery były im zupełnie niepotrzebne, nie wiązały się z ich życiem, były także tylko swego rodzaju epikurejską rozrywką; zabobony zaś wierzącego roboczego ludu były do tego stopnia związane z ich życiem, że niepodobna było sobie wystawić ich życia bez tych zabobonów,—były one nieodzownym warunkiem ich życia. Całe życie wierzących naszego koła było zaprzeczeniem ich wiary, a życie całe ludzi wierzących i pracujących było potwierdzeniem tego celu życia, które dawała wiara. Zacząłem przyglądać się życiu i wierzeniom tych ludzi i im więcej się przyglądałem, tem bardziej się przekonywałem, że oni mają prawdziwą wiarę, że wiara ich jest im niezbędną i że ona tylko daje im cel i możliwość życia. W przeciwieństwie do tego, co widziałem w naszej sferze, w której możliwem jest życie bez wiary i gdzie na 1000 ledwie jeden uważa się za wierzącego, w ich sferze ledwie jeden niewierzący znajdzie się na tysiące.

W przeciwieństwie do tego com widział w naszej sferze, w której całe życie przechodzi na próżniactwie, rozrywkach i niezadowoleniu z życia, widziałem, że całe życie tych ludzi przechodziło w ciężkiej pracy i że oni byli z życia zadowoleni. W przeciwieństwie do tego, że ludzie naszej sfery buntowali się i szemrali na los za cierpienia i abnegację, ci ludzie przyjmowali choroby i zgryzoty bez szemrania, ze spokojną pewnością, że wszystko to musi być i nie może być inaczej, że wszystko to jest—dobrem. W przeciwieństwie do tego, że im jesteśmy rozumniejsi, tem mniej pojmujemy cel życia i widzimy jakiś zły żart w tem, że cierpimy i umieramy, ci ludzie żyją, cierpią i zbliżają się do śmierci ze spokojem, często z radością. W przeciwieństwie do tego, że śmierć spokojna, śmierć bez strachu i rozpacz jest rzadkim wyjątkiem w naszej sferze, — śmierć niespokojna, niepokorna i nieradosna jest rzadkim wyjątkiem pośród ludu. I takich ludzi, pozbawionych wszystkiego tego, co dla nas z Salomonem jest jedyną ponętą życia, odczuwających przytem wielkie szczęście, jest

mnóstwo. Obejrzałem się szerzej dokoła siebie. Wpatrzyłem się w życie minionych i współczesnych olbrzymich mas ludzi. I widziałem takich, pojmujących cel życia, umiejących żyć i umierać nie dwóch, trzech, dziesięciu, a setki, tysiące, miliony. I wszyscy oni bezgranicznie rozmaici pod względem umysłu, wykształcenia, położenia, wszyscy zarówno i w zupełnym przeciwieństwie do mojej nieświadomości pojmowali cel życia i znaczenie śmierci, spokojnie pracowali, znosili cierpienia, żyli i umierali, widząc w tem wszystkim nie marność, a dobro.

I pokochałem tych ludzi. Im głębiej wnikałem w ich życie, życie ludzi żywych i w życie dawno zmarłych, o których czytałem i słyszałem, tem bardziej ich kochałem i tem lżej mnie samemu było żyć. Tak żyłem lat dwa i zaszedł we mnie przewrót, który dawno się we mnie gotował i którego zadatki zawsze w sobie nosiłem. Stało się zemną to, że życie naszej sfery — życie ludzi bogatych, uczonych — nie tylko obrzydło mi, ale straciło jakikolwiek sens.

Cała nasza działalność, rozumowanie, nauka, sztuka — wszystko to nabrało dla mnie nowego znaczenia. Zrozumiałem, że wszystko to — są głupstwa, że szukać w tem sensu nie można.

Życie roboczego ludu, całej ludzkości, tworzącej życie przedstawiło mi się w prawdziwym znaczeniu. Zrozumiałem, że to jest życiem — i że sens nadawany temu życiu, jest prawdą i przyjąłem go.

XI.

I przypomniawszy sobie, jak te same wierzenia odpychały mnie i zdawały mi się bezmyślnymi kiedy je wyznawali ludzie, żyjący w sprzeczności z temi wierzeniami, i jak te same wierzenia pociągnęły mnie i wydały mi się rozumnymi, kiedy zobaczyłem, że ludzie nimi żyją — zrozumiałem dlaczego odrzuciłem te wierzenia i dlaczego uznałem je za bezmyślne wówczas, a teraz przyjąłem je i znalazłem je pełnymi treści. Zrozumiałem, że zbłądziłem i w jaki sposób zbłądziłem. Zbłądziłem nietyle tem, że nieprawidłowo myślał, ile tem, że niewłaściwie żył.

Zrozumiałem, że prawdę **zakrył** przedemną nietyle błąd mojej myśli, ile życie spędzane w tych wyjątkowych warunkach epikureizmu i zadawalniania pożądań. Zrozumiałem, że pytanie, czym jest moje życie i odpowiedź: zło, — były zupełnie w porządku. Nie w porządku było tylko to, że odpowiedź odnosząca się do mnie, zastosowałem do życia wogóle, spytałem siebie, czym jest moje życie i dostałem odpowiedź: złem i nonsensem. I w samej rzeczy, moje życie — życie zepsucia i lubieżności—było bezmyślne i złe i dlatego odpowiedź: „życie jest złe i bezmyślne”—odpowiadała tylko na pytanie co do mego życia, a nie co do życia ludzkiego w ogólności. Zrozumiałem tę prawdę, którą później znalazłem w ewangeliji, że ludzie więcej pokochali ciemnotę aniżeli światło dlatego, że ich uczynki były złe. Albowiem każdy, czyniący złe, nienawidzi światła i nie idzie do światła, aby nie wyszły na jaw jego uczynki. Zrozumiałem, że aby pojąć cel życia, trzeba przede wszystkim, aby życie nie było bezmyślne i złe, a potem — na to jest rozum, aby **pojąć**. Zrozumiałem dlaczego tak długo

krążyłem dokoła tak widocznej prawdy i że jeżeli myśleć i mówić o życiu ludzkości, to trzeba wziąć pod uwagę życie ludzi, a nie życie kilku pasożytów.

Prawda ta była zawsze prawdą, jak $2 \times 2 = 4$, ale ja jej nie uznawałem dlatego, że uznawszy, że $2 \times 2 = 4$, musiałbym przyznać, że nie jestem dobry. A uważać się za dobrego było dla mnie ważniejszym i konieczniejszym aniżeli $2 \times 2 = 4$. Pokochałem ludzi dobrych, znienawidziłem siebie samego i uznałem prawdę. Teraz wszystko zrozumiałem.

A cóż by było jeźliby kat, który życie całe torturuje i ścina głowy, albo pijanica, albo warjat, zamknięty przez życie całe w ciemnym pokoju, zbrzydziwszy sobie ten ciemny pokój i wyobrażający sobie że zginie jeśli zeń wyjdzie, — zapytał siebie: co to jest życie? — Rozumie się nie mógłby dostać na pytanie, co to jest życie? — innej odpowiedzi jak tę, że życie jest największym złem i odpowiedź warjata byłaby zupełnie właściwa, ale tylko dla niego. A jeżeli ja sam jestem takim warjatem? Jeżeli my wszyscy bogaci, próżniacy, jesteśmy takimi samymi warjatami?...

I zrozumiałem, że my rzeczywiście jesteście takimi warjatami. Ja już napewno byłem warjatem. I w samej rzeczy, ptak istnieje w ten sposób, że musi latać zbierać pożywienie, budować gniazdo i kiedy widzę, że ptak to robi, cieszę się jego radością. Koza, zając, wilk, istnieją w ten sposób, że muszą się żywić, mnożyć, żywić swoje rodziny i kiedy to robią, mam silne przekonanie, że są szczęśliwi i że życie ich jest rozumne. Cóż więc powinien robić człowiek?—Powinien tak samo pracować na życie jak i zwierzęta, tylko z tą różnicą, że zginie jeśli będzie pracował sam — powinien pracować nie dla siebie, a dla wszystkich. I kiedy to robi, najmocniej jestem przekonany, że jest szczęśliwy i życie jego jest rozumne. Cóżem ja robił przez czas mego trzydziestoletniego, uświadomionego życia? — Nie tylko nie pracowałem na życie dla wszystkich, ale nie pracowałem nawet na życie dla siebie.

Żyłem jak pasożyt i zapytawszy się, poco żyję — dostałem odpowiedź: na nic. Jeżeli sens ludzkiego życia polega na tem, aby pracować na nie, to jakże ja trzydzie-

ści lat nie tylko nie pracujący na życie, ale tępiący to życie w sobie, mogą otrzymać inne pytanie, jak to, że życie jest bezmyślne i złe?... Ono było bezmyślne i złe.

Życiem światła rządzi czyjaś wola, — Któs przez życie świata i przez nasze życie spełnia swoją wolę. Ażeby mieć nadzieję zrozumienia tej woli, trzeba przede wszystkim spełniać ją, robić to, czego od nas żądają. A jeśli nie będę robić tego, czego chcą odemnie, to nie zrozumiem nigdy tego, czego chcą odemnie, a już najmniej — czego chcą od nas wszystkich i od całego świata.

Jeśli nagiego, głodnego żebraka wziąć z rozstajnych dróg, zaprowadzić do pięknego krytego budynku, nakarmić, napić i kazać poruszać jakimś kijem, to rozumie się, pierwszej zanim zacznie się zastanawiać poco go wzięli, poco mu kazali poruszać kijem, czy rozumnym jest ustrój budynku, — żebrak przede wszystkim powinien poruszać kijem. Jeżeli będzie poruszać kijem to zrozumie, że kij porusza pompę, że pompa wyciąga wodę, że woda rozchodzi się po grządkach; wtedy go

wyprowadzą z zakrytej studni i postawią do innej roboty, i będzie zbierać owoce i podzieli radość pana swego. Przecho-
dząc od niższej pracy do wyższej, coraz bardziej i bardziej będzie pojmował ustrój całej budowli i przyjmując w niej udział, nawet nie pomyśli spytać pogo się tu wziął, a zwłaszcza nie będzie robił wyrzutów swemu panu i gospodarzowi.

Nie robią też wyrzutów panu ci, którzy wypełniają jego wolę, ludzie prości, pracujący, nieuczzeni,—ci, których myśmy przywykli uważać za bydło; a oto my, mędrzy, jeść, jemy wciąż z pańskiego, a robić nie robimy tego, czego od nas żąda pan, i zamiast robić, usiedliśmy wkoło i rozumiemy: „poco poruszać drągiem? Przecież to głupie”. Ot i wymyśliliśmy. Wymyśliliśmy, że pan głupi, albo że go niema, a myśmy mądrzy, tylko czujemy, że nie jesteśmy przydatni na nic i że trzeba nam się samym od siebie uwolnić.

XII.

Uznanie omyłki rozumowanej wiedzy pomogło mi uwolnić się od zgorzenia

próżnego rozumowania, Przekonanie, że prawdę można tylko znaleźć przez życie, doprowadziło mnie do zwątpienia w prawidłowość mojego życia; ale uratowało mnie tylko to, że zdołałem wyrwać się ze swej sfery i zobaczyć życie prawdziwe prostego i roboczego ludu i zrozumieć, że tylko ono jest prawdziwym życiem. Zrozumiałem, że jeśli chcę pojąć życie i jego znaczenie, muszę żyć nie życiem pasożyta, a życiem prawdziwego i uznawszy to znaczenie, które mu nadaje ludzkość rzeczywista, złączywszy się z tem życiem, sprawdzić je.

W tym samym czasie zdarzyło się zemną co następuje. Przez cały ten rok, kiedy prawie co minutę pytałem się siebie: czy nie skończyć z sobą kulą, albo stryczkiem, — przez ten cały czas, niezależnie z tymi myślami i uwagami, o których mówiłem, serce moje dręczyło męczące uczucie. Uczucia tego nie mogę nazwać inaczej, jak szukaniem boga.

Mówię, że to szukanie boga nie było rozumowaniem, a uczuciem, dlatego, że to szukanie nie wynikało z mych rozmyślań, — stało ono nawet z nimi wprost

w sprzeczności, — wynikało z serca. Było tu uczucie strachu, osierocenia, samotności pośród obcych i nadziei na czyjąś pomoc.

Bez względu na to, że byłem zupełnie upewnionym o niemożliwości dowiedzenia istnienia boga, (Kant przekonał mnie i zrozumiałem jasno, że tego dowieść nie można), — wciąż szukałem boga, miałem nadzieję, że go znajdę, zwracałem się na skutek dawnego przyzwyczajenia z modlitwą do tego, którego szukałem i nie znajdowałem, To powtarzałem w myśli dowody Kanta i Szopenhauera o niemożliwości dowiedzenia istnienia boga, to sprawdzałem te dowody i obalałem je. Przyczyna, mówiłem sobie, nie należy do tej kategorii myślenia co czas i przestrzeń. Jeżeli istnieje, to jest tego przyczyna i przyczyna przyczyn. I ta przyczyna wszystkiego jest tem, co nazywają bogiem. I zatrzymałem się na tej myśli i starałem się całą istotą uznać obecność tej przyczyny. I jak tylko uznawałem, że jest siła, która mną włada, zaraz czułem możliwość życia.

Ale pytałem siebie: cóż to za przyczyna ta siła? Jakże mam myśleć o niej,

jak się odnosić do tego, co nazywam bogiem? — I tylko znane odpowiedzi przychodziły mi do głowy: „On — Stwórca i dawca wszelkiego dobra.” Odpowiedzi te mnie nie zadawały i czułem, że zginie we mnie to, co mi do życia jest potrzebne. I ogarniał mnie strach i zaczęłam się modlić do tego, którego szukałam, aby mi pomógł. I im więcej się modliłam, tem wyraźniejsze było dla mnie że on mnie nie słyszy, że niema nikogo, do kogoby się można było zwracać. I z rozpaczą w sercu, że niema i niema boga, mówiłam: „Panie zmiłuj się, uratuj mnie! Panie naucz mnie, Boże mój!” Ale nikt nademną nie miał zmiłowania i czułam, że życie moje się zatrzymuje. Ale znowu i znowu z różnych stron przychodziłam do uznania tego, że nie mogłam być bez żadnego powodu, przyczyny i sensu zjawić się na świecie, że nie mogłam być takim wypadłym z gniazda pisklęciem. Choćbym był pisklęciem, wypadłem z gniazda, leżę na grzbiecie, piszczę w wysokiej trawie, ale piszczę dlatego, bo wiem, że mnie w sobie nosiła matka, wysiedziała, grzała, karmiła i kochała. Gdzież ona, ta matka?

Jeśli opuściła mnie, to kto mnie opuścił? Muszę przyznać, że kochając wydał mnie ktoś na świat. Któż to był? — Znowu bóg.

On zna i widzi moje poszukiwanie, rozpacz, walkę. „On jest”, mówiłem sobie. I wystarczyło mi na mgnienie oka przyznać to, a zaraz życie budziło się we mnie i czułem możliwość i radość istnienia. Ale znowu od przyznania istnienia boga przechodziłem do odszukania stosunku do niego i znowu mi się przedstawiał ten bóg, nasz stwórca w trzech osobach, który nam przysłał syna—odkupiciela. I znowu ten oddzielony od świata, oddzielony odemnie bóg, jak lód topniał, topniał w moich oczach i znowu nic się nie zostawało i znowu wysychało źródło życia, a ja wpadałem w rozpacz i czułem, że mi nic nie pozostaje innego, jak samobójstwo. I co było najgorszym ze wszystkiego, czułem, że i tego nie mogę zrobić.

Nie dwa nie trzy razy, a dziesiątki, setki razy przechodziłem od radości i ożywienia do rozpacz i uznania niemożliwości życia.

Pamiętam, było to wczesną wiosną, byłem sam w lesie, przysłuchiwałem się

głosom lasu. Słuchałem i myślałem wciąż o jednym i tem samym, tak jak ciągle myślałem przez te ostatnie trzy lata. Znowu szukałem boga.

„Dobrze, niema boga,” — mówiłem sobie, — niema takiego, któryby nie był wytworem mojej imaginacji, a rzeczywistością, taką jak moje życie, — niema takiego. I nic, żaden cud nie może mi go okazać, bo cuda będą też wytworem mojej imaginacji i to w dodatku nierozumnym”.

„Ale pojęcie moje o bogu, o tym, którego szukam?” — spytałem siebie. — „Skąd się wzięło to pojęcie?” I znowu na myśl tę duszę mą załwały fale radości życiowej. Wszystko dokoła mnie ożyło, nabrało wyrazu. Ale radość moja nie trwała długo. Rozum prowadził dalej swą robotę, „Pojęcie boga—nie jest bogiem,” — powiedziałem sobie, — „Pojęcie jest tem, co się dzieje we mnie, pojęcie o bogu mogę w sobie wzbudzić i mogę nie wzbudzić. To nie to, czego szukam. Szukam tego, bez czego życie nie mogłoby istnieć.” I znowu wszystko zamierało we mnie i dokoła mnie, i znowu chciałem się zabić.

Ale tu obejrzałem się na samego siebie, na to co we mnie zachodziło i przypomniałem sobie, że setki razy zamierałem i ożywiałem się. Przypomniałem sobie, że żyłem tylko wtedy, kiedy wierzyłem w Boga. Jak poprzednio tak i teraz: wystarcza mi pamiętać o Bogu, a ożyję; wystarczy zapomnieć, nie wierzyć w niego, a umieram.

Co znaczy to zamieranie i budzenie się we mnie życia? Przecież nie żyję, gdy tracę wiarę w istnienie Boga, przecież już dawno bym się zabił, gdybym nie miał mglistej nadziei, że go znajdę. Przecież ja żyję, prawdziwie żyję tylko wtedy, kiedy go czuję i szukam. Więc czegoż szukać jeszcze? — krzyknął głos we mnie. Oto on. On — to, bez czego nie można żyć? Znać boga i żyć — jedno i to samo. Bóg jest życiem.

Żyj odnajdując boga, a wtedy nie będzie życia bez boga. I silniej aniżeli kiedykolwiek rozjaśniło się we mnie i dookoła mnie i to światło już mnie nie opuszczało.

Uratowałem się od samobójstwa. Kiedy i jak nastąpił we mnie ten przewrót,

nie mógłbym powiedzieć. Jak nieznacznie, stopniowo niszczała we mnie moc życiowa i doszedłem do niemożności życia, do zatrzymania życia, do potrzeby samobójstwa, tak samo stopniowo, nieznacznie wróciła do mnie moc życia. I dziwna, że ta moc życiowa, która do mnie wróciła nie była nowa, a stara — ta sama, która mnie pociągała w pierwszej mojej młodości. Wróciłem zupełnie do wszystkiego dawnego, dzieciennego i młodzieńczego. Wróciłem do wiary w tę wolę, która mnie wydała i chce czegoś odemnie; wróciłem do tego, że głównym i jedynym celem mego życia jest to, aby być lepszym t. j. żyć zgodnie z tą wolą; wróciłem do tego, że wyraz tej woli mogę znaleźć w tym co zdała odemnie wypracowała dla swego kierownictwa ludzkość cała, t. j. wróciłem do wiary w boga, w moralne udoskonalenie i w podanie, nadające treść życiu. Tylko ta różnica była, że wówczas przyjmowałem wszystko nieświadomie, a teraz wiedziałem, że bez tego żyć nie mogę.

Zemną stało się jakby ot co: nie pomnę, kiedy mnie posadzili do łódki, ode-

pchnęli od nieznanego mi brzegu, wskazywali kierunek drugiego brzegu, dali w niedoświadczone ręce wiosła i zostawili samego. Pracowałem, jak mogłem wiosłami i płynąłem; ale im dalej wypływałem na środek rzeki, tem bystrzejszym stawał się prąd, który mnie odpychał od celu i tem częściej i częściej spotykałem wiosłarzy tak samo jak i ja porwanych prądem.

Spotykałem samotnych wiosłarzy, którzy nie przestawali wiosłować, i takich, którzy wiosła porzucili, i wielkie łódki, ogromne okręty, pełne ludzi; jednych walczących z prądem, i takich co mu się poddawali. I im dalej płynąłem, patrząc na wszystkich płynących w dół potoku, zapominałem o wskazanym mi kierunku.

Na środku potoku, wśród ścisku łódek i okrętów, niesionych w dół. Zupełnie straciłem kierunek i rzuciłem wiosła. Ze wszystkich stron z radością i weselem płynęli w dół żeglarze, zapewniając mnie i siebie nawzajem, że nie może być innego kieiunku.

I ja im wierzyłem i płynąłem z nimi. I tak mnie daleko zanosło, tak daleko, że usłyszałem szum porogów, o które

miałem się rozbić i widziałem łódki, które się o nie rozbiły. I opamiętałem się.

Długo nie mogłem pojąć co się zemną stało. Widziałem przed sobą tylko zgubę, ku której biegłem i której się bałem, nigdzie nie widziałem ratunku i nie wiedziałem co mam robić, ale obejrzawszy się po za siebie zobaczyłem niezliczoną ilość łódek, które uparcie, nieustannie walczyły z prądem, wspomniałem brzeg, wiosła i kierunek i zacząłem wiosłować napowrót w górę z biegiem i w kierunku brzegu. Brzeg ten to był Bóg, kierunkiem było podanie wiosła, była to dana mi swoboda wypłynięcia do brzegu, połączenia się z Bogiem.

XIII.

Moc życia odnowiła się we mnie i znowu zacząłem żyć.

Wyrzekłem się życia naszej sfery, uznawszy, że to nie jest życie, że warunki, że zbytek, w którym żyjemy, odbiera nam możliwość pojmowania życia i że dlatego aby pojąć życie, muszę zrozumieć życie nie wyjątków, nie nasze — pasoży-

tów życia, a życie prostego roboczego ludu, — tego ludu, który stwarza życie i tę treść, którą on nadaje życiu.

Dokoła mnie żył prosty lud rosyjski i zwróciłem się do niego i do tej treści, którą on nadaje życiu. Treść ta, jeśli ją można wyrazić słowami, była następująca. Każdy człowiek przyszedł na świat z woli boskiej. I bóg tak stworzył człowieka, że każdy człowiek może zgubić swą duszę, albo ją zbawić. Zadaniem człowieka w życiu — zbawienie duszy, żeby zbawić swą duszę trzeba żyć po bożemu, ażeby żyć po bożemu, trzeba wyrzec się wszystkich uciech życia, pracować, pokornym być, cierpliwym, miłosiernym.

Tę treść czerpie lud z religji, przekazanej i udzielanej mu przez duchownych i przez tradycję żyjącą w ludzie. Treść ta była mi jasną i bliską memu sercu. Ale z tą treścią ludowej wiary związane było nierozłącznie u naszego ludu wiele takich rzeczy, które mnie odpychały i wydawały się niewyjaśnione: sakramenty, cerkiewne nabożeństwa, posty, kult dla relikwji i obrazów świętych.

Oddzielić jednego od drugiego lud nie może, nie mogłem więc i ja oddzielać. Jakkolwiek dziwnem mi było wiele z tego co się łączyło z wiarą ludu, przyjąłem wszystko: chodziłem na nabożeństwa, modliłem się rano i wieczór, pościłem, spowiadałem się i z początku rozum mój niczemu się nie sprzeciwiał. To samo co mi się wydawało wprzód niemożliwym, teraz nie wzbudzało we mnie oporu.

Stosunek mój do wiary teraz i dawniej był zupełnie różny. Pierwej życie samo zdawało mi się pełnem treści i wiara wydawała mi się dowolnem zatwierdzeniem jakichś zupełnie mi niepotrzebnych, niemądrych i nie związanych z życiem zasad. Spytałem siebie wówczas jaki sens mają te przepisy i przekonawszy się że one nie mają żadnego, odrzuciłem je. Teraz przeciwnie, wiedziałem z wszelką pewnością, że życie moje niema i nie może mieć sensu i zasady wiary nietylko nie wydały mi się niepotrzebnymi, ale niewątpliwe doświadczenie doprowadziło mnie do przekonania, że tylko te zasady wiary nadają sens życiu. Pierwej patrzy-

łem na nie jak na zupełnie niepotrzebne, nieczytelne gryzmoły, teraz, jeśli ich nie rozumiał, wiedziałem, że w nich jest treść i mówiłem sobie, że trzeba się uczyć je rozumieć. Rozumowałem w następujący sposób. Mówiłem sobie: nauka wiary wypływa jak i ludzkość cała razem z jej umysłem z tajemniczego źródła. Tem źródłem jest bóg, początek i ciała ludzkiego i umysłu. Jak zapoczątkowane od boga doszło do mnie moje ciało, tak doszedł do mnie umysł i moje pojmowanie życia i dlatego wszystkie stopnie rozwoju tego pojęcia o życie nie mogą być fałszywe. Wszystko to w co prawdziwie wierzą ludzie musi być prawdą i chociaż może ona być różnie wyrażaną, ale fałszem być nie może i dlatego też jeżeli ona mi się wydaje fałszem, to znaczy to tylko tyle, że ja jej nie rozumiem. Prócz tego mówiłem sobie: podstawa każdej wiary polega na tem, że ona nadaje życiu taki sens, którego śmierć nie unicestwia. Naturalne więc, że dlatego, żeby wiara mogła odpowiadać na pytania umierającego w zbytku króla, zmęczonego pracą starego niewolnika, bezmyślnego dziecka, ma-

drego starca, półgłupiej staruszki, młodej szczęśliwej kobiety, młodzieńca miotanego namiętnością, wszystkich ludzi w najrozmaitszych warunkach życia i kultury, — to odpowiedź ta chociaż jedyna w swej istocie, musi być nieskończenie różną w swych przejawach i im prawdziwszą, im głębszą jest ta odpowiedź, tem naturalnie dziwniejszą i potworniejszą musi się stać w swych usiłowaniach wyrażenia się odpowiednio do kultury i stosunków każdego człowieka, Te rozumowania, które usprawiedliwiała dziwactwa obrzędowej strony religji, były w każdym razie niedość wystarczające, abym w tej jedynie ważnej dla mnie dziedzinie życia, religji, pozwolił sobie na postęпки, co do których miałbym wątpliwości. Pragnąłem całą siłą złączyć się z ludem, wypełniając obrzędową stronę jego wiary, ale nie mogłem tego zrobić. Czuję, że kłamałbym wobec siebie, że sztydziłbym z tego co dla mnie jest świętem, gdybym to robił. Ale tu mi przyszły z pomocą nasze nowe teologiczne rosyjskie dzieła.

Według tych teologów, podstawowym dogmatem wiary jest nieomylny kościół.

Z tego dogmatu wypływa jako konieczne następstwo, nieomylność wszystkiego uznanego przez kościół. Kościół jako zbór wiernych, połączonych miłością i dlatego mających prawdziwą wiarę, stał się podstawą mojej wiary. Mówiłem sobie, że prawda boska nie może być dostępną tylko dla jednego człowieka, — ona uwidoczniła się tylko stowarzyszeniu ludzi, połączonych miłością. Aby więc osiągnąć prawdę trzeba się nie rozdzielać, a dlatego aby się nie rozdzielać, trzeba kochać i godzić się z tem, co mi nie odpowiada. Prawdę odkryje miłość i dlatego jeśli nie poddajesz się obrządkom kościoła naruszasz prawa miłości, pozbawiasz się możliwości pojęcia prawdy. Nie dostrzegalem wówczas sofizmu, kryjącego się w tem rozumowaniu. Nie widzialem wówczas tego, że połączenie w miłości może dać tylko wielką miłość, ale nie boską prawdę, wyrażoną określonymi słowami w Nicejskim Symbolu, nie dostrzegalem i tego, że miłość nie może pewnego określenia prawdy zrobić obowiązkowym dla jednostki. Nie widzialem wówczas omyłki tego rozumowania i to mi umożliwiło przyj-

mowanie i wypełnianie obrządków prawosławnego kościoła, których nie pojmowałem po większej części. **Staralem się wówczas** wszelkimi siłami unikać wszelkich rozumowań, sprzeczności i staralem się objaśnić ile można rozumumowo te kościelne zasady, z którymi wchodziłem w kolizję.

Wypełniając obrzędy kościelne, upokarzałem swój rozum i poddawałem się tej tradycji, którą piastowała cała ludzkość. Łączyłem się z moimi przodkami, z ukochanymi — ojcem, matką, dziadkami i babkami. Oni i ich przodkowie żyli, i wierzyli i mnie wydali na świat. Łączyłem się z ludem, który szanowałem. Prócz tego te uczynki nie miały w sobie nic złego (za złe uważałem dogadzanie swym chęciom).

Wstając rano na nabożeństwo, wiedziałem, że robię dobrze, już choćby dlatego, że dla ukorzenia mojego rozumu, dla zbliżenia się do moich przodków i współczesnych, dla wyszukania treści życia, poświęcałem swój spokój cielesny. Tak było przy spowiedzi, przy codziennym czytaniu modlitw i pokłonach, toż samo przy zachowaniu postów. Jakkolwiek drobne były to ofiary, były to ofiary w imię

dobra. Spowiadałem się, pościłem, modliłem się w domu i w kościele. Słuchałem uważnie nabożeństwa i każdemu słowu starałem się nadać znaczenie. Podczas mszy najważniejszymi dla mnie były słowa: „umiłujemy się nawzajem jedynomyślnie.” Dalsze słowa: „i jedynie wyznajmy Ojca i Syna i Ducha Świętego”, opuszczałem, bo nie mogłem ich zrozumieć.

XIV.

Tak mi koniecznie było trzeba wówczas wierzyć, aby żyć, że nieświadomie ukrywałem przed samym sobą sprzeczność i niejasność religii. Ale to tłumaczenie obrzędów miało swe granice.

Coraz lepiej rozumiałem główne słowa litanji, jako tako objaśniałem sobie słowa: „i królowę naszą Najświętszą Bogarodzicę i wszystkich świętych wspominając,” „i samych siebie, i jeden drugiego, i cały nasz żywot Chrystusowi Panu oddajemy.” Częste powtarzanie modlitw za cesarza i jego rodzinę tłumaczyłem tem, że oni bardziej są wystawieni na pokuszenie, aniżeli inni i dlatego więcej potrzebują modlitw. Za to modlitwy o ukorzenie pod nogi wrogów i nieprzyjaciół, chociaż ja

objaśniałem tem, że wróg jest zło, — modlitwy cherubinów i prawie dwu trzecich nabożeństw—albo wcale nie mogłem objaśnić, albo też próbując je objaśnić, czułem że kłamię i w ten sposób zupełnie psuję mój stosunek do boga, tracąc wszelką możliwość wiary.

To samo czułem przy świętowaniu wszelkich świąt. Święcić dzień sobotni t. j. poświęcić jeden dzień dla boga — to było zrozumiałe. Ale główne święto było na pamiątkę zmartwychstania, którego nie mogłem ani wyobrazić sobie ani pojąć. Na pamiątkę zmartwychstania, świętowane co tydzień jeden dzień. I w dzień ten spełniała się tajemnica Eucharystji, zupełnie dla mnie niepojęta. Pozostałych dwanaście świąt oprócz Bożego Narodzenia, były ustanowione na pamiątkę cudów, o których starałem się nie myśleć, aby ich nie negować: Wniebowstąpienie, Zesłanie Ducha Świętego, Święto Trzech Króli i t. d. Świętując te święta, czując, że nadaje się ważne znaczenie temu, co dla mnie miało ujemne znaczenie, albo więc wymyślałem sobie uspakajające objaśnienia albo zamykałem oczy, żeby nie widzieć tego, co mnie gorszyło.

Najsilniej miotały mną te uczucia przy najzwyczajszych sakramentach uważanych

za najważniejsze: przy chrzcie i komunji. Tutaj spotykałem się nie z niepojętymi, a zupełnie zrozumiałymi czynami: czyny te wydawały mi się gorszące, i miałem do wyboru dylemat—albo kłamać, albo odrzucić.

Nigdy nie zapomnę męczącego uczucia, którego doznałem, kiedy po wielu latach poraz pierwszy przyjmował komunję. Nabozęństwo, spowiedź — wszystko to rozumiałem i wszystko to budziło we mnie radosne uczucie, że zaczynam pojmować sens życia, Komunję, tłumaczyłem sobie, przyjmuję na pamiątkę Chrystusa, na znak oczyszczenia z grzechów i całkowitego przyjęcia nauki Chrystusa. Jeśli to objaśnienie było sztuczne — nie dostrzegalem tego. Z radością korzyłem się przed prostym, nieśmiałym duchownym, wyrzucałem błoto z mej duszy, żałując za grzechy, z radością łączyłem się myślą z pokornymi ojcami, piszącymi modlitwy, z radością łączyłem się z wszystkimi wierzącymi, nie czułem więc, że objaśnienie moje było sztuczne. Ale kiedy dodszedłem do carskich wrót i duchowny kazał mi powtarzać, że ja wierzę, że to co będę łykać jest prawdziwym ciałem i krwią, ukłuło mnie coś w serce, to nietylko fałszywa nuta, to — okrutne żądanie pos-

tawione przez kogoś, który nigdy widocznie nie wiedział co to jest wiara.

Teraz dopiero pozwalałam sobie powiedzieć, że to było okrutne żądanie; wtedy nie pomyślałam tego, było mi tylko strasznie boleśnie. Już nie byłem w tem położeniu, w jakim byłem w młodości, sądząc, że w życiu wszystko jest jasne. Wróciłem do wiary dlatego, że poza nią nie znalazłem w życiu nic, prócz zguby, a więc nie mogłem odrzucić wiary i poddałem się. I znalazłem w duszy mojej uczucie, które mi pomogło. Było to uczucie samoposzaniwania i pokory. Ukorzyłem się, przeknałem tę krew i ciało i bez szyderstwa, ale cios już został wymierzony. I wiedząc z góry, co mnie oczekuje, już drugi raz nie mogłem pójść.

Spełniałem w dalszym ciągu obrzędy kościelne i ciągle wierzyłem, że w tej nauce, którą wypełniałem była prawda i działa się zemną to, co teraz jest dla mnie jasnym, ale wówczas zdawało mi się dziwnem.

Słuchałem opowiadania niepiśmienego chłopca, pielgrzyma, o bogu, wierze, życiu, zbawieniu i odślaniały mi się tajemnice wiary. Zbliżałem się do ludu, słuchałem jego sądów o życiu, o wierze i coraz bardziej rozumiałem prawdę. To samo odczuwałem czytając Żywoty świętych i Martyrologję świętych męczenników: które były

się mię ulubion., rekturą. Wylączając cuda, uważając je za fabułę ukrywającą myśl lektura ta ukazywała mi znaczenie życia. Były to żywoty Makara Wielkiego, Józefa Królewicza (historja Buddy), były tam słowa Jana Złotoustego, słowa o podróznym w studni, o mnichu, który znalazł złoto, o Piotrze celniku, była tam—historja męczenników, świadczących jednozgodnie, że śmierć nie neguje życia; historje o zbawionych niepiśmiennych, głupich i nieznających nauk kościelnych.

Ale wystarczyło mi spotkać wierzących uczonych albo wziąć ich księgi, a powstało we mnie zwątpienie w samego siebie niezadowolenie i złość, i czułem, że im bardziej wnिकam w ich mowy, tem bardziej oddalam się od prawdy i idę ku otchłani.

XV.

Ileż razy zazdrościłem chłopom ich nieuctwa. W tych zasadach wiary, które dla mnie były wprost bezmyślne, oni nie widzieli nic kłamliwego; mogli je przyjąć i nie wierzyć w prawdę, — w tę prawdę, w którą i ja wierzyłem. Ale dla mnie nieszczęsnego było widoczne, że prawda cieniutkiemi nitkami przeplecioną jest z kłamstwem i że ja nie mogę jej przyjąć w takim stanie.

Tak żyłem trzy lata i z początku

kiedym jako katechumen tylko potrochu przyjmował prawdę i uczuciem prowadzony szedł tam, gdzie mi się zdawało jaśniei, te kolizje mniej mnie uderzały. Kiedym czegoś nie rozumiał, mówiłem sobie: „moja wina, ja jestem głupi.” Ale im bardziej przejmowałem się temi prawdami, których się uczyłem, im bardziej stawały się one podstawą mego życia, tem cięższe, tem bardziej rażące stawały się owe kolizje i tem głębszą stawała się granica pomiędzy tem, czego nie rozumiem, bo nie umiem zrozumieć, i tem, czego nie można pojąć inaczej, jak okłamując samego siebie

Bez względu na te cierpienia i zwątpienia, jeszcze trzymałem się prawosławia. Ale zjawily się pytania życiowe, które trzeba było rozwiązać i wtedy rozwiązanie tych pytań przez kościół—przeciwnie zasądom tej wiary, którą żyłem — ostatecznie zniewoliły mnie do zrzeczenia się związku z prawosławiem.

Pytaniem tym był przede wszystkim stosunek kościoła prawosławnego do innych kościołów—do katolicyzmu i tak nazw. roskolników. W tym czasie na skutek mego zainteresowania się wiarą zbliżyłem się do wierzących innych wyznań: do katolików, protestantów, staroobrzędowców i innych. I wielu pomiędzy nimi napotkałem ludzi

prawdziwie wierzących i wysoko stojących moralnie. Zapragnąłem być bratem tych ludzi.

I cóż? — Ta nauka, która obiecywała mi złączyć wszystkich jedną wiarą i miłością, ta sama nauka w osobach swoich najlepszych przedstawicieli powiedziała mi, że to są wszystko ludzie żyjący w fałszywej wierze, że to co daje im życiowe siły jest pokusą djabelską, że my tylko jedni znamy jedyną prawdziwą wiarę.

I ujrzałem, że wszystkich wierzących inaczej prawosławni uważają za heretyków, zupełnie tak samo, jak katolicy i inni uważają prawosławie za herezję: ujrzałem, że do wszystkich wyrażających swą wiarę innymi zewnętrznymi słowami i symbolami, prawosławie, — chociaż stara się ukryć to, odnosi się wrogo, bo też inaczej być nie może, po pierwsze dlatego, że twierdzenie, że ty żyjesz fałszem, a ja prawdą, jest najokrutniejszym słowem, jakie może jeden człowiek powiedzieć drugiemu, a po drugie dlatego, że człowiek kochający dzieci i braci swoich nie może nie odnosić się wrogo do ludzi, którzy pragną nawrócić jego dzieci i braci na fałszywą wiarę.

I wrogie to usposobienie wzrasta w miarę znajomości wiary. I mnie, który

opierałem prawdę na zjednoczeniu w miłości mimowoli rzuciło się w oczy to, że sama nauka religii unicestwia to, co powinna była wyprodukować, Zgorzenie to do tego stopnia jest uderzające dla nas wykształconych ludzi, żyjących w krajach różnowierczych, dla nas którzyśmy widywali to pogardliwe zachowanie, z jakim katolik traktuje prawosławnego i protestanta, prawosławny katolika i protestanta, a protestant ich obu i takież sam stosunek ich do staroobrzędowców, że w pierwszej chwili zastanawia. Mówisz sobie: ależ nie może być, żeby to było tak proste i żeby ludzie tego nie widzieli, że jeśli dwa pewniki nawzajem się negują, to ani w jednym, ani w drugim niema tej prawdy jedynej, jaką powinna być wiara. Coś w tem jest. Musi być jakieś objaśnienie,—i myślałem, że jest i szukałem tego wyjaśnienia. i czytałem wszystko co mogłem w tej kwestji i radziłem się wszystkich, kogo tylko mogłem. I nie otrzymałem żadnego objaśnienia, prócz tego samego, według którego huzarzy uważają, że najpierwszym pułkiem w świecie są huzarzy, a złoty ułan uważa za najpierwszy pułk w świecie — złotych ułanów. Duchowni rozmaitych wyznań nic innego mi nie powie-

dzieli, jak tylko to, że oni wierzą, że oni wyznają prawdę, a tamci błędzą, i że wszystko co mogę, to modlić się za nich. Jeździłem do archimandrytów, archijerejów starców, schyzmatyków, a nikt nie usiłował nawet mi tego objaśnić. Jeden tylko z nich objaśnił mi to wszystko, ale objaśnił wszystko tak, żem już więcej nikogo nie pytał o nic.

Mówiłem o tem, że dla każdego niewierzącego, zwracającego się do wiary (a zwraca się do niej całe nasze młode pokolenie), to pytanie jest najglówniejsze: dlaczego jedynie prawdziwą wiarą ma być nie luteranizm, ani katolicyzm, a prawosławie. Już w gimnazjum wie każdy, że protestant i katolik, tak samo uważają swoją wiarę za jedynie prawdziwą. Historyczne dowody, zebrane przez każdą religję na swą korzyść, nie są dostateczne. Czy nie można — mówiłem sobie — pojmować tak nauki, żeby z jej wysokości zniknęły różnice, tak jak one znikają dla prawdziwie wierzących? Czy nie można iść dalej po tej drodze, po której idziemy ze staroobrzędowcami? Oni twierdzili, że krzyż, alleluja i chodzenie dokoła ołtarza u nas są inne, jak u nich. Myśmy powiedzieli: wy wierzcie w Symbol Nicejski, w siedm sakramentów i my wierzymy. Trzymajcie

się więc tego, a co do reszty, róbcie jak chcecie. Złączyliśmy się z nimi dlatego, żeśmy postawili wyżej to, co istotne w religji, od tego, co nie istotne. Teraz czyż katolikom nie można powiedzieć; wy wierzyście w to i w to, co najważniejsze, a w stosunku do Filio que i papieża róbcie jak chcecie. Czy nie można powiedzieć tego i protestantom, złączywszy się z nimi w głównych punktach? Ten, z którym prowadziłem rozmowę zgadzał się z moją myślą, ale powiedział mi, że takie ustępstwa spowodują sarkanie na władzę duchowną, że odstępuje od wiary przodków i staną się powodem odszczerpienia, a powołaniem władzy duchownej jest—zachowanie w czystości odziedziczonej po przodkach grecko-rosyjskiej prawosławnej wiary.

I zrozumiałem wszystko. Ja szukam wiary, siły życia, a oni szukają najlepszego sposobu wypełnienia wobec ludzi pewnych ludzkich obowiązków. I wypełniając te ludzkie obowiązki, wypełniają je po ludzku. Cokolwiekby mówili o swem współczuciu, o błędzących braciach, o modlitwach za nich wnoszonych do Najwyższego Tronu, dla wykonania ludzkiej pracy trzeba gwałtu i gwałt się zawsze popełniał, popełnia i będzie popełniał. Jeżeli dwie

religje uważają siebie za prawdziwe, a jedna drugą nawzajem za fałszywą, to pragnąc zjednać braci dla prawdziwej wiary, będą propagować swoją naukę. A jeśli fałszywą naukę propagują między niedoświadczonymi synami prawdziwego kościoła, to kościół ten nie może nie palić księgi, nie wykluczyć człowieka, gorszącego jej synów. Cóż robić z tym płonącym ogniem fałszywej według prawosławia, wiary sekciarzy, która gorszy synów kościoła? Cóż z nim zrobić, trzeba uciąć mu głowę, albo zamknąć go? Za Aleksieja Michajłowicza palili na stosie t. j. stosowali najwyższą na owe czasy karę, dziś stosują także najwyższą karę — celkowe więzienie.

I zwróciłem uwagę na to, co się robi w imię religji i przestraszyłem się i prawie zupełnie wyrzekłem się prawosławia.

Drugim stosunkiem kościoła do spraw życiowych był stosunek jego do wojny i kary śmierci.

Podówczas wybuchła wojna w Rosji. I rosjanie w imię chrześcijańskiej miłości zabijali swych braci. Nie myśleć o tem nie było można. Nie wiedzieć, że zabójstwo jest złem sprzeciwiającem się najpierwszym zasadom każdej religji, nie było można. A tymczasem w kościołach modlono się za powodzenie naszego oręża i nauczyciele religji uważali takie zabójstwo za sprawę,

wypływającą z religji. I nie tylko zabójstwa na wojnie, ale podczas rozruchów, które wynikły po wojnie. Widziałem urzędników kościelnych, nauczycieli kościelnych, mnichów, ascetów, którzy pochwalali zabójstwa błędzących, bezbronnych młodzieńców.

I zwróciłem uwagę na to wszystko, co robią ludzie, wyznający chrystjanizm i przeraziłem się.

XVI.

Przestałem wątpić, przekonany byłem w zupełności, że w nauce tej religji, do której się przyłączyłem, nie wszystko jest prawdą. Pierwej powiedziałbym, że cała religja jest kłamstwem, ale teraz nie mogłem tego powiedzieć.

Lud posiadał prawdę, to było niewątpliwe, dlatego, że inaczej by nie żył. Prócz tego ta znajomość prawdy była mi już dostępną, żyłem już nią i czułem całą jej prawdę; ale w tej nauce było i kłamstwo. O tem nie mogłem wątpić. I wszystko, co wprzód mnie odpychało, teraz żywo stanęło mi przed oczami. Choć wiedziałem, że tego fałszu, który mnie odpychał, mniej było u ludu, aniżeli u przedstawicieli kościoła, — pomimo to widziałem, że i w wierzeniach ludu kłamstwo było zmieszane z prawdą.

Ale skąd się wzięło kłamstwo i skąd się wzięła prawda? I kłamstwo i prawda zostały nam przekazane przez to, co się nazywa kościołem. I kłamstwo i prawda zamknięte są w zakonie, w t. zw. świętym zakonie i piśmie.

Pomimo więc woli musiałem dojść do nauki, badania tego pisma, — do badania, którego dotąd tak się obawiałem.

I zwróciłem się do studjowania tej samej religii, którą wówczas z taką pogardą odrzuciłem, jako niepotrzebną. Wówczas wydała mi się zbiorem niepotrzebnych nonsensów, wówczas ze wszystkich stron otaczały mnie zjawiska życiowe, które mi się wydawały jasne i pełne znaczenia; teraz radbym odrzucić to, co nie leży w zdrową głowę, ale nie mam się gdzie podziąć.

Na tej nauce oparty, albo też z nim nierozłącznie związany jest jedyny sens życia, które mnie się odkrywało. Jak ono mnie nie wydaje się dzikiem na mój stary, twardy rozum, to — jedyna nadzieja ocalenia. Należy ostrożnie, uważnie rozpatrzyć to, dlatego, by zrozumieć to, nawet nie to, że zrozumieć, jak ja rozumiem położenie nauki: ja tego nie szukam i nie mogę szukać, znając właściwości wiary. Ja nie mogę szukać, objaśnienia wszy

stkiego. Ja wiem, że objaśnienie wszystkiego winno się kryć, jak początek wszystkiego, w nieskończoność. Lecz ja chcę zrozumieć tak, ażeby być sprowadzonym ku nieobjaśnionemu; ja chcę, by to wszystko, co jest niezrozumiałe, było takowe nie dlatego, że wymagania mojego rozumu są nieprawidłowe (są one prawidłowe i z nich ja nic nie mogę zrozumieć, lecz dlatego, że ja widzę granice swojego rozumu. Ja chcę zrozumieć w ten sposób, ażeby każde niedające się objaśnić położenie przedstawiało się jako niezbędność rozumu, nie zaś jako powierzenie obowiązku.

Że w nauce jest prawda, w to nie wątpię; ale nie wątpię i w to, że w niej jest kłamstwo, i ja muszę znaleźć prawdę i kłamstwo.

Co ja odnalazłem w tej nauce kłamliwego, co odnalazłem prawdziwego i do jakich wniosków przyszedłem, znajdzie się w następnych przedziałach utworu, który, jeśli na to zasługuje i komukolwiek potrzebny, napewno będzie kiedyś i gdzieś drukowany.

1879 r.

To było przezemnie napisane przed
rzema laty.

Obecnie, przeglądając to, wracając do tych myśli i do tych uczuć, które były we mnie, kiedy to wszystko przeżywałem, w tych dniach ujrzałem sen. Sen ten przedstawił mi w ściśnionym obrazie wszystko to, co ja przeżyłem i opisałem i dlatego myślę, że i dla tych, którzy mnie zrozumieli, opisanie to odświeży, rozjaśni i zbierze w jedność wszystko to, co tak rozległe opowiedziano na tych stronicach. I mnie ani dobrze, ani źle, ja leżę na plecach. I zaczynam myśleć o tem, czy dobrze mi leżeć i mnie wydaje się, że mi niewygodnie u nóg jakoś mi czy za krótko, czy nie równo, dość że niewygodnie; ruszam nogami i zaczynam się zastanawiać, jak i na czem leżę, co mi dotąd nie przychodziło do głowy I obserwując swe postanie, widzę, że leżę na pleconych, sznurowanych pasach, przyciepionych do łóżka. Stopy moje leżą na jednym takim pasie, golenie na drugim, — nogi mam umieszczone niewygodnie. Zkądciś wiem, że te pasy można przesuwac. Ruchem nóg odpycham ostatni pas pod nogami; zdaje mi się, że tak będzie wygodniej. Ale odepchnąłem go zadaleko, chcę go znów uchwycić nogami, ale przez

ruch ten wysuwa mi się z pod goleni drugi pas, nogi moje zwisają. Robię ruch całym ciałem, żeby się poprawić, pewien że zaraz mi będzie lepiej; ale przez ten ruch wysuwają się z podemnie inne pasy i widzę, że wszystko się psuje, cała dolna część ciała mego opuszcza się i zwisa, nogi nie dostają do ziemi. Trzymam się już tylko na grzbiecie i nietylko mi niewygodnie, ale i strasznie.

Dopiero teraz zadaję sobie pytanie, które mi dotąd do głowy nie przychodziło. Pytam siebie: gdzie jestem i na czym leżę? Zaczynam się rozglądać i przedewszystkiem patrzę w dół, w kierunku, w którym zawisło moje ciało i w którym, czuję to, muszę lada chwila spaść natychmiast. Patrzę w dół i oczom swym nie wierzę. Nie to, żebym był na wysokości równej szczytowi najwyższej wieży albo góry, ale jestem na takiej wysokości, jakiej sobie nigdy nie wyobrażałem.

Nie mogę się nawet zorjentować — czy tam widać coś w dole, w tej bezdennej przepaści, nad którą wiszę i która mnie ciągnie ku sobie, Serce mi się ściska i odczuwa strach. Strach tam spojrzeć. Jeśli będę patrzył, czuję, że ześlizgnę się z ostatniego pasa i zginę. Nie patrzę. Ale nie patrzeć jeszcze gorzej, bo ciągle myślę

o tem, co się zemną stanie, kiedy ostatni pas się oberwie. I czuję, że ze strachu tracę panowanie nad sobą i powoli zsuwam się na plecach coraz to niżej i niżej.

Jeszcze chwila, a urwę się. I wówczas przychodzi mi na myśl: to nie może być prawda. To sen. Zbudź się. Staram się zbudzić i nie mogę. Co robić, co robić? — pytam siebie i spoglądam w górę. W górze także przepaść.

Patrzę w tę przepaść niebieską i staram się zapomnieć o przepaści w dole i rzeczywiście zapominam. Nieskończoność w dole odpycha mnie i przeraża nieskończoność w górze pociąga i uspakaja. Wiszę tak samo na ostatnich pasach nad przepaścią, wiem, że wiszę, ale spoglądam tylko w górę i strach mój znika. Jak to bywa we śnie, jakiś głos mówi: zapamiętaj sobie! Otóż to właśnie! I patrzę coraz dłużej i dłużej w nieskończoność, w górę i czuję, że uspakajając się, pamiętam wszystko co było i pamiętam, jak się to wszystko stało, jak poruszałem nogami, jak zawisłem, jak się przestraszyłem i jak pozbyłem się strachu, patrząc w górę. I teraz pytam się: no, a teraz, czemże jestem? I nietyle oglądam się, ile całym ciałem czuję ten punkt oparcia, którego się trzymam. Widzę, że już nie wiszę i nie padam a trzy-

mam się mocno. Zadaję sobie pytanie: w jaki sposób wiszę, oglądam się i widzę, że pod sobą mam tylko jeden pas i że patrząc w górę, leżę na nim w najbardziej stałej równowadze, że ten pas jeden podtrzymywał mnie i pierwej. I wówczas, jak to bywa we śnie, wydaje mi się ów mechanizm, który mnie potrzykuje bardzo naturalnym, zrozumiałym i niewątpliwym, bez względu na to, że na jawie ów mechanizm niema sensu.

We śnie nawet się dziwię, jak mogłem nie zrozumieć tego wcześniej: okazuje się, że w głowach moich stoi słup i pewność tego słupa nie ulega zwątpieniu, bez względu na to, że ów cienki słup nie ma na czym stać. Potem od tego słupa przeprowadzona pętla tak jakoś zręcznie, a zarazem prosto, że jeśli leżeć na tej pętli środkiem ciała i patrzeć w górę to mowy być nie może o upadku. Wszystko to było mi jasne i byłem zadowolony i spokojny. I jakby ktoś mi mówił: uważaj więc, zapamiętaj. I obudziłem się.

1882 rok.

K O N I E C .

